Nr. 32. Kraków, dnia 7 sierpnia 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

Baczność!

Związek syonistyczny w Paryżu (wedle czasopisma „Nauka", wychodzącego w Ungwarze) wydał i rozesłał do żydów odezwę następującej treści:

„Bracia współwyznawcy!

„Niema dziś na całym świecie kątka ziemi, któryby się bardziej nadawał do zupełnego przez nas opanowania i zawładnięcia nim, niż Węgry i Galicya.

„Te oba kraje muszą się stać naszymi, wszystko nam tu sprzyja. Starajcie się wszyscy, bracia żydzi, starajcie się ze wszystkich sił, zawładnąć zupełnie tymi krajami, starajcie się wyprzeć z nich wszystkich chrześcian z każdego zawodu, stać się jedynymi panami kraju! Starajcie się wszystko to, co dziś jeszcze oni mają, zagarnąć w swoje ręce, a jeżeli nie mielibyście sami do tego dostatecznych środków pieniężnych, to nasz Związek, towarzystwo nasze w Paryżu, dostarczy ich wam i dopomoże, ile tylko będzie potrzeba.

Nasz związek zbiera na ten cel wkładki i nadspodziewanie wpływają ofiary do naszej kasy *na wyrwanie galicyjskiej i węgierskiej ziemi z rąk Galicyan i Węgrów,* a oddanie jej wyłącznie *w posiadanie żydów.*

„Składają się magnaci całego świata, dają wielkie ofiary.

„I wy złączcie wszystkie swoje siły, aby cel ten, który wam wskazujemy, jaknajprędzej zupełnie odciągnąć".

O Węgrów nam tyle nie idzie: tam żywioł żydowski wsiąkł w żywioł rdzennie madziarski, ale nie wyzbył się ani sił swoich, ani znaczenia: charakter żydowski wylezie zawsze z każdego neofity i on też nieraz zaznacza się w polityce węgierskiej. Chodzi nam przedewszystkiem o Galicyę. Właścicielami większych posiadłości są przeważnie Polacy, akcya więc syońska zwraca się głównie przeciwko nim. Istotnie postępy żydów w nabywaniu ziemi, przeważnie od większych właścicieli, bo chłop jest ostrożniejszy — są zastraszające. Nieodpowiednia stopa i system życiowy doprowadza ich często do katastrofy i ruiny; sytuacyę tę wyzyskują żydzi, wykupują ziemię, albo na parcelacyę, albo pod własną gospodarkę. W zachodniej części kraju 7 proc., we wschodniej 28 proc. większej własności należy już do żydów. Są powiaty, które z kuryi większych własności mogą większością głosów obrać posłem żyda. Dobrze, że żydzi ci uchodzą za Polaków i uważają się za nich: ale co będzie, gdy między nimi obudzi się ruch separatystyczny, syoński?

Źle już jest, baczmyż, aby gorzej nie było!

Z zielonej Bukowiny.

Czerniowce, 25. lipca.

Mieliśmy w ostatnich czasach kilka wydarzeń natury ogólno-narodowej.

Do takich przedewszystkiem należy podróż czcigodnego ks. arcybiskupa Józefa Bilczewskiego ze Lwowa po koloniach polskich na Bukowinie. Ci „słowacy", bo tak naszych górali nazywa statystyka urzędowa, mieli sposobność poznać swego duszpasterza, który nieraz dał wyraz ogromnej troski o dalekie kresy wschodnie — i utrwalić się we wierze i w narodowości.

Wizytacya ks. Bilczewskiego miała także duże znaczenie narodowe wobec dążeń do stworzenia osobnego biskupstwa w Czerniowcach. Istnieją od dłuższego czasu usiłowania, aby dyecezyę lwowską podzielić; są one uzasadnione ogromnym obszarem dyecezyi lwowskiej i wielkością pracy, jaką muszą władze poświęcać swoim podwładnym, zaniedbywanym przez lata całe, a narażonym na wynarodowienie ruskie.

Są tedy dążenia do utworzenia stolicy biskupiej w Stanisławowie lub Tarnopolu, a Bukowina zabiega o Czerniowce. Dla nas rzecz byłaby bardzo niebezpieczna, bo na fotel arcypasterza przyszedłby niewątpliwie Niemiec, a przez to germanizacya byłaby forsowana także przez duchowieństwo bukowińskie.

Jesteśmy pewni, że Najczcigodniejszy nasz Arcypasterz nie opuści swych owieczek i nie zda ich na łup niemczenia.

Inną rzeczą dla nas ważną było uczestnictwo Bukowiny w uroczystościach krakowskich. Uczestniczyło w nich kilkadziesiąt osób z Bukowiny z prezesem Macierzy stowarzyszeń polskich d-rem St. Kwiatkowskim na czele; coprawda, przydałaby się osobna wycieczka Polonii bukowińskiej na uroczystości, zeszłoroczna bowiem wycieczka młodzieży przyniosła bardzo cenne rezultaty; a i tak silnie w pamięć wraziły się niezapomniane okoliczności z wielkich i uroczystych dni grunwaldzkich.

Obok tych rezultatów ważnym dla Bukowiny był ostatni zjazd walny Tow. Szkoły ludowej. Przyniósł on jednomyślną całego zjazdu uchwałę, domagającą się założenia prywatnego gimnazyum polskiego w Czerniowcach.

Urzędowa statystyka z r. 1900. wykazuje zaledwie trzydzieści tysięcy ludności polskiej na Bukowinie, w tem 7000 Polaków w Czerniowcach. Cyfry te są sfałszowane. W rzeczywistości w Czerniowcach mieszka około 15000 Polaków, a Polaków na Bukowinie liczyć należy conajmniej na 50,000.

Brak szkół ludowych z językiem wykładowym polskim, ale przedewszystkiem brak polskiego gimnazyum. Już w r. ub. na zjeździe T. S. L. w Kołomyi poruszano myśl założenia prywatnego gimnazyum polskiego w Czerniowcach i przyjęto ją ogólnem uznaniem, zaczęto gromadzić na ten cel fundusze. Dobry początek dał dyr. Banku Polskiego, sędziwy Władysław Sołtyński, ofiarowując 12 000 kor. gotówką; obecnie fundusz zebrany w ciągu roku wynosi około 20 000 kor.

Miejmy nadzieję, że, pisząc w przyszłym roku do kochanego Tygodnika Narodowego o tej porze, będę mógł donieść Wam o przygotowaniach do otwarcia nowego zakładu polskiego, nowej naszej placówki, dostarczającej nam inteligencyi, której brak nam wielki.

Wasz.

Z wakacyi.

Listy do Czytelnika.

I.

Kochany Przyjacielu! Kilkakrotnie odtrącałem już pióro, odpędzałem precz natrętne myśli — a jednak wracam do nałogu i piszę Ci, kochany Czytelniku, zdań parę, aby i Tobie wrazić tę troskę, jaka mnie nurtuje.

Upowity dookoła listowiem, przez konary drzew, czerpiąc z ziemi chłód i pokrzepienie patrzy się w słońce życiodajne, co błyska ciepłymi promieniami i oblewa mnie złotem swojem. Tak mi dobrze. Obcuję z naturą i z niej jak dziecię z piersi matczynnej, ssię zdrowie i orzeźwienie. Myśli puściłem wolno, mózg wygnałem na wypoczynek. Jakoby trudu nie było żadnego ni pracy. Nie, tak nie jest: w trudzie i w pracy zdobywam nadszczerbione siły, wzmacniam zdrowie na dalszą pracę.

Cieszę się słońcem. Jak dziecko pieści zabawkę, tak ja cieszę się jego ciepłem i promieniami, co liżą całe ciało moje. Nie jeno ono, daje sił, sił najwięcej i najwięcej życia.

A jednak, Kochany Przyjacielu, męczy mnie nieustannie myśl przykra, że człowiek samolubem jest nędznym, że sam wyzyskuje wszelkie warunki dla własnego dobra — a o drugich — najczęściej zapomina. Przez to, że rozkoszuję się słońcem i powietrzem, narażam innych na większy trud i odrabianie pracy za mnie; narażam ich w tej chwili, kiedy sam w niczem ani naturze ani ludzkości się nie przyczyniam, ale czerpię od niej pełnemi garściami.

I to mnie dręczy: dlaczego tylko cząstka ludzkości może zdobyć się na wypoczynek. Jest on dla zdrowia, do równomiernego rozwoju sił niezbędny: a tymczasem zaledwie drobny procent może go użyć, dla wielu jest to luksus, a dla największej części — to niepodobieństwo! Dlaczego robotnik, pracujący od rana do nocy, rzemieślnik nie może użyć choć w części ożywczych wpływów słońca ani zaczerpnąć pełną piersią świeżego, nieskażonego miazmatami miasta — powietrza? Dlaczego, dlaczego? Dlaczego dotąd nie zdobyliśmy się na na sanatorya dla ubogich, na liczne domy dla nieuleczalnie chorych, dlaczego nasza polityka społeczna w kierunku hygieny jest tak mała i nikła?

Prawda, zapomniałem, że naród, żyjący w takich warunkach, jak my, niema niekiedy najprymitywniejszych podstaw rozwoju!

Sfax.

Teofil Wiśniowski i Józef Kapuściński.

Dnia 31 lipca upłynęło lat sześćdziesiąt i trzy, jak dwaj bohaterowie ruchu wolnościowego polskiego, po dniach trudu i niebezpieczeństw — zawiśli na szubienicy za sprawę Polski. Poświęćmy im dzisiaj krótkie wspomnienie.

Po upadku powstania listopadowego, lata 1832. do 1848. w dziejach Polski porozbiorowej stanowią bezsprzecznie najwspanialszy okres pracy konspiracyjnej na ziemiach Rzeczypospolitej. „Wolność, równość i braterstwo!“ — oto hasła, w imię których formowano liczne grupy tajne, mające na celu przygotowanie gruntu do zbrojnego powstania całego narodu. Grupy te, t. zw. komitety rewolucyjne, które postawiły sobie za zadanie uświadamianie najszerszych warstw ludowych i propagowanie idei niepodległości politycznej, wzrastały z błyskawiczną szybkością, szeregując coraz to liczniejsze zastępy gorących prozelitów. Wkrótce też wszystkie komitety złączyły się w jedną wielką organizacyę pod nazwą: „Stowarzyszenie ludu polskiego“, opartą — pod wpływem Szymona Konarskiego — na zasadach „Młodej Polski“. Młoda Polska z dyrekcyą w Bernie szwajcarskim stanowiła związek samodzielny, wchodzący jednak w skład demokratycznej organizacyi międzynarodowej p. n. „Młoda Europa“, powstałej za inicyatywą wielkiego patryoty włoskiego Józefa Mazini’ego.

W tym czasie powstaje na emigracyi drugie stowarzyszenie, oparte również na zasadach demokratycznych, lecz o programie ściśle narodowym, i to pod nazwą: „Towarzystwo demokratów polskich“ pod naczelną władzą Centralizacyi pierwotnie w Poitiers, później w Wersalu (1840. do 1847.) i w Paryżu. Centralizacya w krótkim stosunkowo czasie bierze w dyrektywę cały ruch wolnościowy w krajach zabranych, i tym sposobem wznosi się poniekąd na stanowisko rządu narodowego, którego władzy podlegają wszelkie drobniejsze organizacye tajne, jak niemniej Komitet centralny poznański oraz Stowarzyszenie ludu w Galicyi.

Centralizacya, bądź to za pośrednictwem specyalnych okólników, bądź też publikowaniem artykułów w organach swoich („Demokrata Polski“, „Pismo Towarzystwa demokratycznego“, „Przegląd Dziejów Polskich“) roztrząsa cały szereg palących kwestyi, pozostających w ścisłym związku z ideą niepodległości; przeprowadza na ten temat rzeczowe dyskusye z sekcyami krajowemi i dochodzi do przekonania, że pierwszym aktem zbrojnego powstania powinno być „zniesienie pańszczyzny i uwłaszczenie włościan bezwarunkowe i bez wynagrodzenia“. W następstwie tego Towarzystwo Demokratyczne ogłasza manifest, w którym głosząc zasadę szczerego demokratyzmu, uznaje, że niepodległość Polski zależną jest od ludu, który „stanowi nietkniętą prawie, równie zewnętrznym jak wewnętrznym nieprzyjaciołom straszną potęgę“. Manifest ten spotkał entuzyastyczne przyjęcie wśród myślącego ogółu. Posypały się liczne broszury, pisemka ulotne, które za pośrednictwem emisaryuszów rozrzucano tajnie, między lud i mieszczaństwo. W ślad za tym rządy zaborcze dokonywują licznych aresztowań pod zarzutem zdrady stanu. Mimo to gorączka rewolucyjna staje się powszechną i obejmuje coraz to szersze warstwy społeczeństwa pod trzema zaborami, głównie jednak w Poznańskiem i pod Austryjakiem. Na horyzoncie dziejowym zajaśniały nazwiska Karola Libelta, Edwarda Dembowskiego, Ludwika Niegolewskiego, Ryszarda Berwińskiego, Seweryna Goszczyńskiego, Szymona Konarskiego oraz wielu innych.

Na tem tle występuje niepospolita postać gorącego a niestrudzonego szermierza idei niepodległości Polski i wolności ludu — *Teofila Wiśniowskiego.*

Teofil Wiśniowski urodził się dnia 2 stycznia 1806 r. w Jazłowcu. Po ukończeniu nauk gimnazyalnych w Stanisławowie wstąpił na wydział prawniczy we Lwowie; zaś w 28 roku życia zdał z odznaczeniem egzamin sędziowski w wyższym sądzie lwowskim. Od tego też czasu datuje jego nadzwyczajna działalność na polu wielkiej pracy odrodzeniowej, przy której wytrwał nieugięty i przeciwnościami niezrażony do końca życia.

Wiśniowski zrezygnowawszy z ofiarowanej mu posady rządowej rzucił się w wir pracy konspiracyjnej z zupełnem zaparciem się siebie. Niesłychanie energiczny nie spoczywał choćby na chwilę; jeżdżąc po kraju całym, słowem i czynem rozbudzał ducha narodowego wśród mas najszerszych. Dzięki jego inicyatywie powstają kluby rewolucyjne w ruskiem seminaryum duchownem; dalej — organizują się grupy spiskowych pomiędzy wojskowymi, składające się przeważnie z podoficerów i poruczników. Sam jako członek zarządu Stowarzyszenia ludu w przebraniu chłopskiem rozrzuca niezliczone ilości broszur między lud. — To też w krótkim czasie staje się duszą wszelkich kadr rewolucyjnych, które gęstą siecią pokryły cały nieomal zabór austryacki.

W r. 1836 wpada policya na trop spiskowych i między innymi aresztuje także Wiśniowskiego. W więzieniu śledczem przebywa kilkanaście mie-

sięcy pod zarzutem naruszenia spokoju publicznego i zdrady stanu. Mimo okrutnych barbarzyńskich tortur Wiśniowski nie zdradza istnienia organizacyi i w końcu wydostaje się na wolność z powodu braku jakichkolwiek dowodów.

Po krótkim z powodu choroby wypoczynku w majątku swoim Słobódce wolny Wiśniowski zrywa się na nowo do niebezpiecznej a gorączkowej pracy. Wkrótce widzimy go członkiem Centalizacyi Towarzystwa Demokratycznego, w której przewyższa wszystkich energią niespożytą i inicyatywą. Intensywna działalność jego podpadła znowu argusowemu oku policyi lwowskiej, która pod koniec roku 1844 rozciągnęła dosłownie sieć zasadzek na niego w cłej Galicyi. Widząc się ze wszech stron osaczonym, Wiśnionski opuszcza Galicyę i udaje sią do Poznania, a następnie do Wersalu, ówczesnej siedziby Centralizacyi.

Gdy pracę przygotowawczą uznano już za dostateczną, Centralizacya zwołała zjazd emisaryuszów Towarzystwa Demokratycznego, na którym uchwalono wybuch powstania na dzień 21 lutego 1846. Teofila Wiśniowskiego mianowano prezesem Trybunału rewolucyjnego dla Galicyi.

Władze austryackie zwęszyły przygotowujące się powstanie, i — aby temu przeszkodzić — osławiony minister Metternich przy pomocy prezydenta gubernialnego dla Galicyi barona Kriega wpadł na iście szatański pomysł wywołania w kraju kontr-rewolucyi.

W tym celu rozpoczął akcyę podszczuwania niedostatecznie jeszcze uświadomionych i zbałamuconych włościan przeciw szlachcie. i obywatelstwu. a w końcu wydał t. zw. „Befehl“, upoważniający chłopów do rżnięcia panów przez trzy dni — za wynagrodzeniem. Galicya ujrzała się nagle w „dymie pożarów“ a „krew bratnia“ toczona ręką spojonego przez zbirów rządowych i rozszalałego chłopstwa, polała się szerokiemi strumieniami. Za każdą głowę powstańca rząd wyznaczył 10 guldenów nagrody, natomiast za schwytanie Wiśniowskiego — tysiąc guldenów. Widok i zapach krwi na natury pierwotne działa szczególniej podniecająco, rozbestwia je. To też rozwścieczone tłumy pod dowództwem Jakóba Szeli, Korygi, Stępaka, Janochy i Bokoli mordowały obywatelstwo oraz ukrywające się w lasach szeregi powstańców z niesłychaną wprost zapamiętałością.

Centralizacya widząc to, ogłosiła odroczenie powstania, o czem jednak Wiśniowski dowiedział się w porze spóźnionej. Dowodząc zaś małym oddziałem (60 ludzi), i nie wiedząc nic o odroczeniu powstania, w Narajowie napadli na szwadron huzarów austryackich, stoczył bój zacięty i zwyciężył. Niedługo jednak cieszył się zwycięstwem. Nadciągający bowiem tłum rozszalałych chłopów rozbił w puch nie broniącą się wcale garstkę powstańców, a sam Wiśniowski w przebraniu księdza schronił się do pobliskiej wsi Manojewa. I tu czekał go koniec. Tutaj w czasie chwilowego spoczynku zdradziecko wydał go władzom austryackim chłop Iwan Budnik, jeden z rzeszy tej, o której absolutną wolność i dobrobyt Wiśniowski walczył i niósł życie w ofierze...

Po półtorarocznem śledztwie i torturowaniu w więzieniu lwowskiem Trybunał najwyższy w Wiedniu dnia 1 lipca 1847 roku zatwierdził wyrok, skazujący Wiśniowskiego na karę śmierci przez powieszenie.

Dziwnym zbiegiem okoliczności skazano równocześnie na śmierć Józefa Kapuścińskiego, urzędnika magistrackiego w Pilźnie. Józef Kapuściński był również czynnym członkiem Stowarzyszenia ludu, a skazano go zupełnie niewinnie pod zarzutem morderstwa dokonanego na staroście pilznańskim Breindlu, który jako podżegacz rządowy podczas pamiętnej rzezi krwawą odegrał rolę.

Dnia 31 lipca 1847 roku wczesnym rankiem w otoczeniu dwóch szwadronów wojska wywieziono Teofila Wiśniowskiego i Józefa Kapuścińskiego okutych w kajdany na górę cytadelną, na miejsce egzekucyi. Tysiące mieszczan lwowskich i obywatelstwa z różnych stron kraju, przyodzianych w żałobę, towarzyszyło naszym bohaterom. Na górze zdjęto im z rąk kajdany, a po chwili rozległ się donośny okrzyk wyrzucony z piersi dwojga: „Nie żyje Polska!“ Z tym okrzykiem zawisły na szubienicy ciała dwóch bohaterów-męczenników, którzy za sprawę Ojczyzny oddali życie swoje.

Od tej chwili upływa lat sześćdziesiąt...

Cz. Kędzierski.

Francuz o ludzie polskim.

Pan Henri de Noussanne, redaktor naczelny paryskiego „Gil Blas'a“, zamieścił w swem piśmie z okazji uroczystości grunwaldzkich artykuł, w którym tak mówi o ludzie naszym:

„Patrzę na chłopa polskiego... W postaci tej odbija się powaga myśli, która mnie, Francuza, uderza: ten chłop — to prawdziwa dusza Polski.

„Porównywam go z naszym wieśniakiem, ze zmyślnym i przebiegłym gaskończykiem lub baskiem, i przekonywam się, że włościanin polski jest im równy w pojęciu potrzeb życia. Z tę



Winobranie.

jednak różnicą. że Polak w szkole ciężkiej i pod słomianą strzechą rodzinną zachował lepiej pamięć o historyi swego kraju. Zna on i pamięta całą lirę śpiewów, które odtwarzają życie narodu. Widocznie żadne przewrotne teorye nie oderwały go od tych ideałów głównych i nie zatruły w nim jeszcze uczuć patryotycznych.

„Jeżeli nauka jego jeszcze ograniczona, to jest ona jednak dostateczna, ażeby w nim utrzymać patryotycznym, wiążący go do ziemi ojczystej, wierny chwale ojców, czuły na ich cierpienia. Ten prostak w warunkach swego stanu wzrósł już, ażeby zrozumieć potrzebę walczenia i zwyciężania; dziś widocznie dumny jest z roli, jaką odegrali przodkowie jego pod Grunwaldem. Instynktownie on czuje, że, ażeby utrzymać chwałę przodków, przypada jemu, chłopu, być stróżem Ojczyzny polskiej i pracować nad jej przyszłością.

„Że szlachta, mieszczaństwo, artyści i stan rzemieślniczy oddają cześć królowi, który w 1410 starł potęgę krzyżacką, nic w tem niema dziwnego. Oni o tem są oświecani nauką i wzajemnem porozumieniem. Ale gdy widzę chłopów polskich, zgromadzonych z najdalszych stron Polski u pomnika Jagiellońskiego, wlewa to we mnie głębokie przekonanie o nadzwyczajnej żywotności tego narodu, który chcieli niektórzy uważać, jako wchłonięty lub ginący!

„Ten chłop, którego podziwiam — kończy p. de Noussanne — przejęty swymi obowiązkami politycznymi i czcią dla swych bohaterów, mówi mi o wielkości i przyszłości Polski!“

Uwagi p. de Noussane są wysoce znamienne i godne zapamiętania. Już i obcy w ludzie polskim widzą przyszłość naszego narodu.

Wtedy, gdy miasto było uśpione...

Spadła na ziemię czarna, burzliwa noc.. Noc pełna jęków natury zdziczałej od strachu, hałasów mknących z otchłani tajemniczych, i głosów nieznanych, dalekich, a rozpacz w sobie niosących..

Szalony wicher uderzał swemi skrzydłami o spiż i kamień pomnika, i mknął dalej, świszcząc przeraźliwie i hucząc nad starym grodem Krakusa...

Sławny Wawel... zamczyska i baszty zmurszałe... cienie wielkiej przeszłości, a pośród nich ten nowy pomnik, na którym zdawały się połyskiwać jeszcze łzy rozrzewnienia i uczucia wzniosłego miłowania Ojczyzny, sławy praojców i walczących braci...

Wionęła niezmierzona potęga od tych kilku w śpiżu zesztywniałych postaci bohaterów, a noc, ta czarna, ponura noc trwożliwie rozsnuwała swą płachtę, do kiru żałobnego podobną; czasem blady miesiąc wynurzał się chyżo i przez mknące obłoki ślizgał się po obliczach i zbrojnych piersiach bohaterów ciekawym promieniem...

Gdzieś na dalekiej strzelnicy zegar powoli dwanaście przeciągłych wydał głosów i umilkł, czając się w głębokiej framudze pod śpiczastym dachem...

Z kłębów zmroku nocnego, z czarnej czeluści nocy wynurzył się człowiek... Olbrzym to był o barach szerokich i piersi wypukłej, okutej w zbroję czarną... Prawicę na miecz obosieczny położył, przez otwory przyłbicy czarnego chełmu oczami błysnął, obszedł pomnik dokoła, stopą w ziemię uderzył i zawołał wielkim głosem:

— Królu wielki i Ty, kneziu, witajcie mi... Oto z grobu powstał i do starej siedziby polskiej przyszedł do was Zawisza Czarny — Sulimczyk...

Lecz milczał Jagiełło-król, modlił się... czy marzył...

Groźny Witold w martwą twarz krzyżaka miał wbity wzrok, i milczał jak dawniej ten srogi wojownik, wróg drapieżnego rycerstwa.

— Dziś słyszałem, jak tętniła ziemia pod stopami zastępów polskich, jak targały powietrzem tej ziemi ojczystej okrzyki bratnie... Przyszedłem więc... Wyprawą ruszasz, królu miłościwy, na wroga? Słyszałem jak rumaki biły okutem kopytem w błonia i jak warczały w rękach młodzi maczugi i żelazo... Sulimczyk nie mógł pozostać w spokoju — i oto jest tu przed Wami, włodycy!

Milczały śpiżowe postacie, tchnąc przerażeniem...

Zadrżał Zawisza Czarny, zadrżał po raz pierwszy, zabobonnym przejęty strachem...

— Królu-panie! — rzekł ponuro. — W krwawej robocie życie i zdrowie oddaliśmy Ojczyznie... Jak chorągiew święta, powiewała nad nami myśl szczytna o potędze kraju, o szczęściu ziem słowiańskich, które ludzi swoich — kmietów i możnych — na pole Grunwaldu rzuciły... Dlaczegoż, o panie, usta Twe są tak milczące? Czyżby nie radowało się Twe serce na plon krwawego żniwa? Czyżby na ziemi, krwawą rosą napojonej, nie wybujały kwiaty szczęścia i zgody pobratymczych ludów?...

Wielka trwoga i potężne błaganie brzmiały w głosie Czarnego Zawiszy, dumy Polski i postrachu rycerskich turniejów na dalekim, obcym Zachodzie.

Władysław-król mieczem zlekka poruszył, a wnet z wązkich kurytarzy ulic, z załamania dachów, z otworów strzelniczych i z kopców odwiecznych zlatywać się cienie zaczęły.

Rozszalała się burza, skowytem napajając powietrze i mknęła wśród zgiełku i krzyków, zrywając dachówki, gasząc żółte płomyki latarni i z jękiem pierś swą rozbijając o załamania i łuki grubych murów...

W tem morzu dźwięków posłyszał czujny rycerz skargi, okrzyki wrogie i szalone głosy nienawiści...

— Nas — dzieci katują prawnuki...! — przeraźliwie zawodził jakiś głos dziecięcy od Północy.

— Mowę naszą, wiarę ojców gnębią... Umieramy...



Powrót z wycieczki.

— Brat na brata rękę podnosi i śmierć i kłam zadaje w walce bratobójczej! — łkały głosy młodzieńcze, pełne sił i zapału. — Dzieje się wielka krzywda, panuje olbrzymia nieprawda...

— My, którzy na lewe skrzydło krzyżaków uderzyli pod Mikołajem Czechem z Bielany — a obok siebie widzieliśmy w boju złowrogim bratnie toporki ludzi Smoleńskiej ziemi i innych, aż hen! gdzie tylko mowa sięga Słowianina, walczącego z ordą tatarską — nie widzimy już tych braci... Wrogami się stali dla nas, zrodzonych pod znakiem Orła białego i Pogoni.

— Nie masz wśród nas zgody i bratniej łączności, mocarnej, nad spiż i granit twardszej...

Jęczały głosy, rwały się łkania bolesne, westchnienia, skargi i wielkie, namiętne wołania o pomoc kotłowały się w zmroku nocy, a szalona wichura porywała je w swe rozszalałe °bjęcia i ciskała w otchłań bez brzegów, bez głębi, bez krańców, bez błysków...

— O Panie Zastępów! — wołał zbolałym głosem Czarny Zawisza Sulimczyk. — Na marne poszła robota i trudy pokoleń? Morze krwi naszej, nasze życie dla Ojczyzny przemknęły bez śladu?

I zbrojną prawicę z chrzęstem żelaza ku niebu wyciągnął, a potem opuścił ją i długo trzymał w powietrzu, grożąc czy błogosławiąc...

Burza ucichła... Noc mijała... Czując słońce, zapiały kury... Umilkły głosy cieniów niedoli...

W ostatnich mrokach nocy rozpływała się olbrzymia postać rycerza w czarnej zbroi z herbem Sulimy na piersiach...

Wyniosły pomnik wynurzał się z ciemni, sztywny i potężny, a wzrok króla szukał tego,

kto stał tu przed chwilą i pytał wielkim i zbolałym głosem:

— Czyż na marne poszły robota i trudy pokoleń?...

Antoni Ossendowski.

Gdyby więcej takich...

Mało jest takich panienek, jaką była panna Marynia.

Piękna, naturalnie, bez dodatków chemicznych i sztucznie wytworzonej zgrabności; wygląd jej zdrowy, twarz rumiana, ruchy swobodne, przytem skromnie lecz z gustem ubrana, robiła miłe na każdym wrażenie.

Duchowe jej zalety dopełniały fizyczne i tworzyły razem piękną harmonię. Cechowała ją szczerość, skromność, grzeczność w obejściu i wesołość rozpromieniająca jej sympatyczną twarzyczkę.

Po bliższem zapoznaniu się z nią znalazłeś w jej sercu gorące współczucie dla niedoli ojczyzny, ale nie polegające na wypowiadaniu szumnych zdań, lecz na cichej i wytrwałej pracy. O pracy jej wiedzieli tylko najbliżsi, bo jej nie wystawiała na — pokaz publiczny.

Nie chodziło jej o sławę, ale o dopomożenie w podźwignięciu się na wyższy szczebel kultury naszego ludu, o którego los zawsze się troszczyła.

Posiadała ona rzadką wśród nas cnotę: silny i stały charakter. W pracy rozpoczętej umiała wytrwać do końca.

W obejściu się z młodzieżą męską była grzeczna, lecz umiała zachować dla siebie ich szacunek, tak, że w jej obecności żaden z mężczyzn nie pozwolił sobie na żart niestosowny.

Z pomiędzy wielu ubiegających się o jej serce i rękę, wybrała jednego, nie bogatego, ani nadzwyczajnie pięknego, ale dzielnego, wytrwałego i pełnego poświęcenia młodzieńca i temu oddała serce.

Nie spędzali jednakże czasu, na prawieniu sobie komplementów, bo pochlebstwa nie lubiła, ale na naradach, jak urządzić sobie życie, ażeby najowocniej dla narodu pracować i siebie od rozczarowań ocalić.

Cały dzień zajętą była pożyteczną pracą, to w gospodarstwie domowem, to pracą społeczną, a wolne od zajęcia godziny lubiła spędzać na czytaniu pożytecznych książek (tylko nie francuskich romansów), na muzyce, śpiewie, co pewien czas bywała na ładnej sztuce w teatrze, a nawet (to ale już rzadko) na balu.

Niema więc czasu ani na nudy, ani na obmowy i plotki, ani też na złe — myśli, przed któremi to człowiek niewiedzący, co z czasem robić, obronić się nie może.

Taką była Marynia. Szkoda tylko, że podobnych panienek mamy bardzo mało.

Młot.

Czas to pieniądz.

Wysoce kulturalni i zarazem niezmiernie praktyczni Anglicy mówią: że czas to pieniądz!...

Wyrażenie to przetłomaczono na wszystkie języki europejskie. Powtarzają je Francuzi, Niemcy, Włosi, Hiszpanie, powtarzamy i my — Polacy, z tą jednak różnicą, że jeżeli tamci wierzą w jego rzeczywistą słuszność i prawdziwość, my powtarzamy je z dużym naciskiem — najczęściej bez wiary i bez przekonania.

Zdawałoby się, że dla nas „czas“ nie ma żadnej wartości, że nie on nad nami i życiem naszem panuje, lecz, że jest całkowicie do naszej dyspozycyi.

Wyraz „termin“ jest dla nas przeważnie brzmieniem bez głębszego znaczenia.

Rozumiemy zaledwie termin odejścia pociągu kolei — już mniej termin „przyjścia“ tegoż pociągu; rozumiemy i to nie wszyscy termin zapłacenia wekslu.

Nieraz nawet na własne uszy słyszeliśmy:

— Jak oni śmieli *mój* weksel zaprotestować! Cóż to, czyż to ja nie jestem odpowiedzialny na jakieś głupie tysiąc rubli! Termin upłynął!... ale cóż to mnie obchodzi!

Od pewnego — niedawnego czasu — zaczęto rozumieć, że istnieje termin stawienia się na obiad proszony i na partyę winta.

Motywuje się to w ten sposób, że śpóźnienie się na obiad może narazić sztukę kulikarną kucharza na szwank i gospodarstwu narobić wiele kłopotu, a przytem nieprzyzwoicie jest dać czekać „trzem“ na czwartego!

Dlatego właśnie uformowano tabelkę do gry w pięciu, żeby się jeden mógł spóźnić bezkarnie!

O innych terminach nie wiele wiedzieć chcemy. Termin sesyi, zebrania ogólnego — to wszystko fraszka... jeżeli się za to nie bierze „żetonów w obecności.“



Zazdrość.

Że tam sobie kilku lub kilkunastu ludzi czeka, że zebranie nie przychodzi do skutku w pierwszym terminie, że się w drugim odbywa przy obecności bardzo niewielkiej liczby członków danej instytucyi — jeżeli naturalnie nie idzie o wybory z agitacyą — to nam jest wszystko jedno i bylibyśmy prawdziwie zdumieni, gdyby nam kto powiedział, że jesteśmy nieuprzejmi...

Marnotrawimy więc cudzą pracę, cudze pieniądze i nie wiedząc o tem, sami przyczyniamy się do zmniejszenia dobrobytu społecznego.

Przedewszystkiem zdradzamy w ten sposób obojętność na działalność i losy stowarzyszenia, którego jesteśmy członkami, a tem samem przynosimy mu szkodę, nie zasilając go dobrą radą, inicyatywą, nie zapobiegając przez kontrolę i zainteresowanie się złym kierunkompracy w stowarzyszeniach omyłkom w najlepszej wierze popełnianym, no i czasem nadużyciom.

Dalej... tym ludziom, którzy na dany termin się stawili, zabieramy niepotrzebnie czas, któryby poświęcić mogli na inną pracę, a bodaj nawet na celowy odpoczynek. Zniechęcamy najprawowitszych i najenergiczniejszych.

Wszystkie te godziny, które „oni" trawią na czekaniu na „nas": są stanowczo stracone dla pracy społecznej. Strata jest tem większa, że te godziny tracą właśnie ci, którzy czas swój cenią i z niego korzystać umieją.

Zasłaniać się przysłowiem, że „bez jednego żołnierza wojna się też odbyć musi!" — nie można; sami doskonale błahość tego frazesu rozumiemy.

Zechciejmyż raz wejrzeć bliżej w angielską maksymę, a krótkie zastanowienie przekona nas, że „czas to pieniądz!" i więcej jeszcze niż pieniądz ceniony być powinien. A wtedy z pewnością porzucimy metodę systematycznego spóźniania się i ocenimy właściwe i znaczenie i ważność tego, co to jest termin.

J. wł.

Trucizna — lekarstwem!...

Wyszedłszy kiedyś na spacer spotkałem znajomego mi młodego jegomościa. Po przywitaniu wyjmuje ów jegomość papierosy i częstuje mnie. Ja jednak dziękuję, oświadczając, że nie palę. Zapalił więc sam i mówi.

— Dobrze pan robi nie paląc, bo to tylko niepotrzebny wydatek.

— E! — odpowiadam — gdyby mi chodziło tylko o wydatek, to możebym i palił, ale przecież to zanieczyszczanie płuc nikotyną w wysokim stopniu zatruwa organizm.

— Tak... — rzecze mój znajomy — wiem o tem, ale cóż z tego, kiedy będąc nałogowym palaczem, zarzucić tego zwyczaju nie mogę, gdyż mógłbym wtedy istotnie zapaść na zdrowiu.

— Ależ, panie! — odzywam się — przecież doktorzy, zabraniając palenia tutuniu, chronią w ten sposób zdrowie nałogowych palaczy.

— Nie będę się sprzeczał — mówi — bo pan, jako człowiek, nie używający tego narkotyku pojąć tego nie możesz. Powiem tylko, iż kilka razy starałem się przemódz — napróżno. Tracę wówczas apetyt, chodzę jak obłąkany, czuję, że mi „czegoś" brak, a gdy zacznę palić, wszystko jakby ręką odjął. I niech mi pan wierzy, że wolałbym dwa dni nie jeść, niż nie palić.

W taki oto sposób toczyła się między nami dyskusya. Na wszystkie użyte przezemnie argumenty znajomy mój odpowiadał: „nie mogę!" Z rozmowy naszej okazało się, iż hołduje on przekonaniu, jakoby trucizna, jaką jest nikotyna, mogła być w danym wypadku lekarstwem.

Czyżby istotnie tak było?

Sądzę, że nie; znam bowiem ludzi, którzy przy dobrej i szczerej istotnie woli brzydki ten zwyczaj całkowicie zarzucili. Gdyby szło w tym wypadku o dokonanie rzeczy nie dla każdego wykonalnych, np. zbudowanie aeroplanu, ha! wówczas sprawa byłaby całkowicie jasną i zrozumiałą.

A więc śmiało do pracy! Tyle mamy przed sobą do zdobycia, nie zawładniemy jednak niczem, żadnego nie odniesiemy zwycięstwa, o ile nie będziemy posiadać siły odpowiedniej do zwyciężenia, tkwiących w nas samych, różnorodnych nałogów i ułomności.

Roch Rosik.

Więzienia rosyjskie i ich mieszkańcy.

Wyszło świeżo z druku, w objętości 500 stronnic dużego formatu, „Sprawozdanie głównego zarządu więziennego" za r. 1908. Zaznacza ono na wstępie, że w Rosyi, podobnie jak to ma miejsce w Belgii, Holandyi, Danii, Szwecyi, Norwegii, w Austro-Węgrzech i większości państw niemieckich, nadzór nad więzieniami spoczywa w ręku ministerstwa sprawiedliwości. Zapomina jednak dodać, że w Rosyi nadzór ten ministerstwa sprawiedliwości jest tylko nominalny, faktycznym bowiem panem więzienia i więźniów jest ministerstwo spraw wewnętrznych, a właściwie mówiąc, gubernator miejscowy oraz zarząd żandarmski, wola których jest dla naczelnika więzienia świętą. Że tak jest w istocie, dowodzi fakt następujący, przytoczony w sprawozdaniu: w myśl ustawy ministerstwo sprawiedliwości wykonywać ma nadzór swój nad więzieniami przez istniejący przy niem t. zw. komitet więzienny. Otóż w roku sprawozdawczym członkami komitetu tego były tylko 2 osoby, wobec czego komitet, podobnie jak lat poprzednich, nie odbył ani jednego nawet posiedzenia! Komentarze zbyteczne!

Sprawozdanie zaznacza w dalszym ciągu ze smutkiem, że służba w zarządzie więziennym nie pociąga jakoś ludzi z wyższem wykształceniem. W roku sprawozdawczem było ich tylko 5, a i ci wkrótce porzucili służbę, bo im się gdzieindziej otworzyły lepsze widoki: trzech z nich wstąpiło do... kancelaryi Dumy państwowej. Trzeba było szukać chętnych gdzieindziej; znaleźli się dość liczni kandydaci przeważnie wśród urzędników policyi powiatowej i miejskiej, którzy chętnie wstępowali do służby w zarządzie więziennym. Ciążenie żywiołów tych ku służbie więziennej sprawozdanie tłómaczy wyłącznie wygórowanym patryotyznem. „Fakt ten — pisze — jest niewątpliwie echem epoki ruchu wolnościowego, kiedy to urzędnicy zarządu więziennego wziąć musieli czynny udział w walce o utrzymanie porządku państwowego".

Dnia 14 stycznia 1909 r. w 711 więzieniach cywilnych w Rosyi na 116,888 miejsc było więźniów wszystkich kategoryi 180,206, czyli że przepełnienie więzień wyraziło się w cyfrze 63,318 ponad normę. Najwyższy jednodniowy zbiór wszystkich więźniów bez dzieci wynosił 222,683, czyli, że w dniu tym więzienia miały ponad normę 105,795 więźniów. Cyfry powyższe nie są, oczywiście, ścisłe, nie obejmują bowiem osadzonych



Pieśń miłości.

w więzieniach wojskowych, w aresztach, w cyrkułach, na odwachach itd.

Liczba więźniów wzrasta nieustannie z roku na rok. W ciągu ostatnich 5 lat powiększyła się przeszło w dwójnasób: dn. 14 stycznia 1905 roku więzienia miały 80,885 niedobrowolnych mieszkańców, w r. 1906 cyfra ta wzrosła do 95,452, w 1907 roku do 125,298, w 1908 do 160,025 i wreszcie w 1909 do 180,206 osób. Wzrost ten niepomierny sprawozdanie tłómaczy w pierwszym rzędzie przyczynami politycznemi.

Owe 180,206 więźniów według kategoryi dzielą się, jak następuje: zesłanych do ciężkich robót było wśród nich 20,936. I tu zauważyć się daje

olbrzymi wzrost więźniów: w 1906 r. było więźniów tej kategoryi 5,748, w roku zaś 1909-ym już 20,936. Przeważali skazani za zabójstwo, dalej szli skazani za rozboje i wreszcie polityczni. W rotach aresztanckich było 27,428 więźniów (w 1900 r. liczba ich wynosiła 15,832). Osadzonych w więzieniach i twierdzach było 69.399 i wreszcie pozostających pod śledztwem 62,443 (w 1904 r. — 30,442). W ogólnej liczbie więzniów kobiet było 12 388, małoletnich od 10 do 17 lat 10,203.

Wszyscy więźniowie ci przebyli ogółem w więzieniach w roku sprawozdawczym 62,601,653 dni, czyli że w ciągu jednego roku odsiedzieli 171,511 lat więzienia.

Przy takiem przepełnieniu więzień cierpieć musiał, oczywiście, dotkliwie i tak już daleki od doskonałości stan sanitarny. Na ogólną liczbę 180,206 więźniow w roku sprawozdawczym potrzebowało pomocy lekarskiej 172,798. W szpitalach wiąziennych znajdowało się przeciętniowo 13.175 więźniów dziennie. Śmiertelność w roku sprawozdawczym wyraziła się w cyfrze 5,145. Tak wysoką, w prównaniu z lalami poprzednimi, śmiertelność sprawozdanie tłómaczy wyłącznie przepełnieniem więzień.

W ciągu roku sprawozdawczego zbiegło 1,371 więźniów; z liczby tej ujęto ponownie 564, powróciło dobrowolnie 20, zbiegło bez śladu 787. Rozruchów więziennych w czasie tym było 43, podkopów 327, podpaleń 9, zabójstw współwięźniów 42, gwałtów nad strażą więzienną 36. Przy tłuwieniu rozruchó tych i usiłowaniu ucieczki zabito 71 więźniów raniono 51. Samobójstw i zamachów samobójczych było 107.

Tak się przedstawia w cyfrach życie więzienne, z którem zaznajamia nas sprawozdanie głównego zarządu więziennego.

Strajk morza.

Cała Francya bawi się przygodą dyrektora teatru w Bordeaux, który znowu wścieka się ze złości, gyż z powodu ośmieszenia, przepadł mu cykl przedstawień „Burzy“ Szekspira, która to sztupa zapowiadała się świetnie pod względem kasowym.

Jak wiadomo, w „Burzy“ przychodzi morze, toczące spienione bałwany. Otóż bałwany te robili statyści w liczbie 15 tęgich, pełnych temperamentu zuchów, który, ukryci pod zielonem płótnem, już to podnosząc, już to pochylając się, nasladowali falujące morze. Przytem ryczeli i świstali nieludzko, co łącznie z szumem i hałasem, wywoływanym sztucznie za kulisami, sprawiało istotnie piekielne wrażenie, wstrząsając nerwami widzów.

Ale dyrektor teatru, chcąc pokryć straty, spowodowane niepowodzeniem na poprzednich przedstawienich, obciął również gaże „bałwanom morskim“ i zamiast po franku, jak się był umówił, zapowiedział, że zapłaci im tylko po 50 centimów.

Na wiadomość o tem „morze“ zahuczało i uchwaliło strajk... Uchwała ta trzymana jednak była w jak najściślejszej tajemnicy aż do najbliższego przedstawienia „Burzy“, chodziło bowiem o to, aby wiarołomnego dyrektora nauczyć...

Wreszcie nadszedł dzień, w którym „Burza“ znowu pojawiła się na afiszu, nadszedł i wieczor i teatr zapełnił się gęsto publicznością.

Gdy podniosła się kurtyna, za kulisami zahuczał straszliwy grzmot i rozpętała się dzika nawałnica. Zaryczała świszcząca wichura i olbrzymie ziarna bobu i fasoli, naśladujące grad, posypały się na scenę. Jedo tylko morze pozostało dziwnie nieruchome i z nieustraszonym, kamiennym spokojem zachowywało się wobec wściekłych gromów i błyskawić...

Dyrektor, który pełnił obowiązki reżysera, widząc, co się dzieje, spotniały z przerażenia i wściezbiegł czemprędzej do „bałwanów“ i wydał im grzmiący rozkaz, aby się „wzdymały“ i „ryczały“. Może jednak nie poruszyło się ani na włosek, zachowując w dalszym ciągu kamienny spokój.

Gdy dyrektor znów krzyknął z pod zielonego płótna wynurzyła się głowa jednego ze statystów, który wymówił półgłosem:

— Dołożysz pan po 30 centimów?

— Ani mowy! Po 10 centimów...

Głowa schowała się flegnatycznie w zielonej głębi, a morze zachowało w dalszym ciągu zwierciadlaną nieruchomość...

Rozbawiona publika zanosiła się od śmiechu, dyrektor szalał z rozpaczy.

Z zielonej głębi znowu ukazała się głowa:

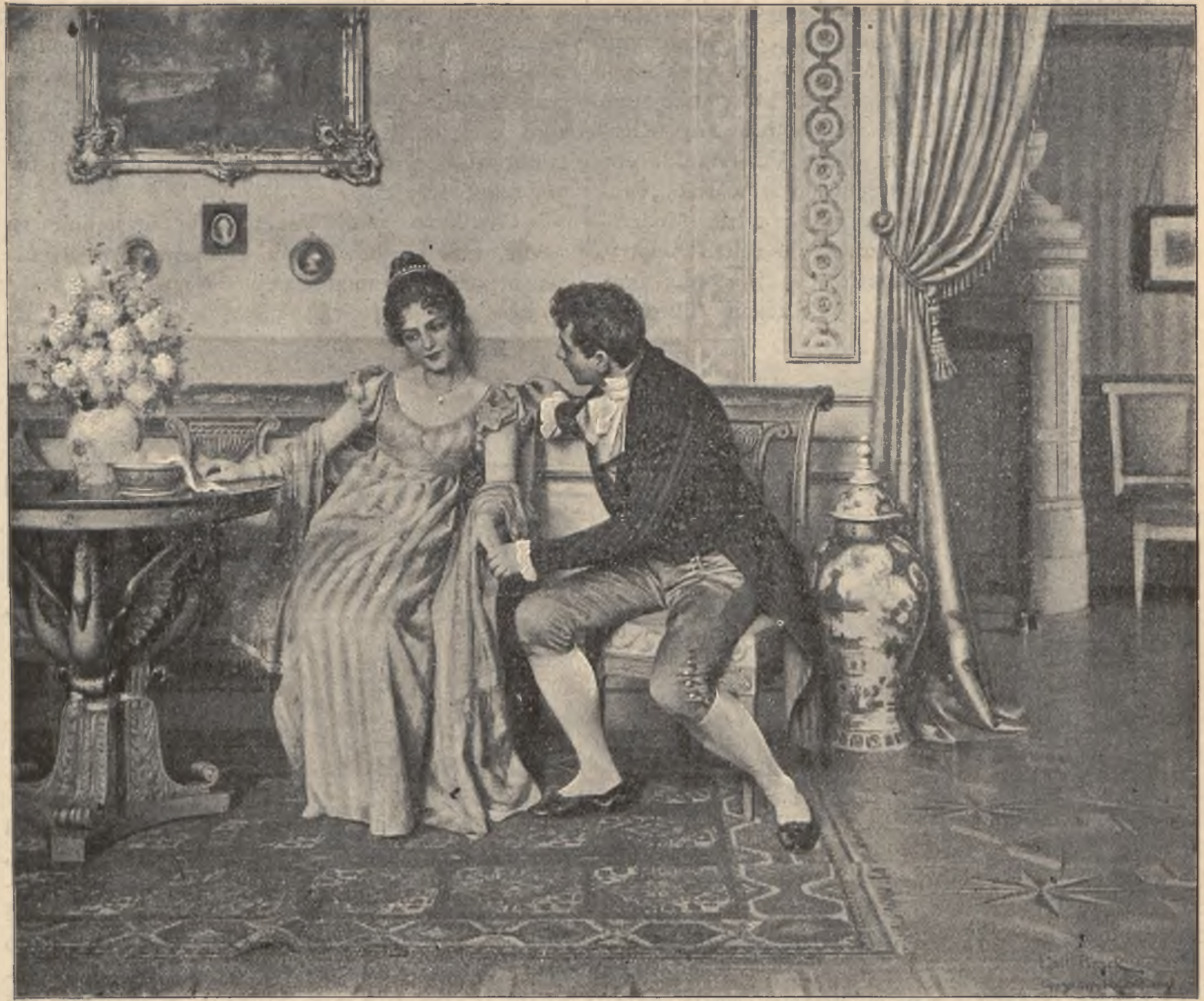
— 30 centimów, panie durektorze?

— Nigdy! 20 centimów...

Teraz morze zaszumiało cichutko, jakby słodki wiew nadziei musnął powierzchnię.

— 30 centimów, panie dyrektorze? — wyszeptała znowa głowa.

— 25 centimów!...



Przyjemne chwile.

Morze zaszumiało już głośniej. Lekko poruszyły się bałwany, jakby ożywczy wiatr wschodni przebiegł po falach... Tymczasem na widowni rozpętała sią burza. Publiczność ryczała ze śmiechu. Niektórzy z widzów formalnie wyli z rozkoszy.

— Niech was siarczyste pioryny! Dołożę po trzydzieści centimów!... — ryknął dyrektor wielkim głosem.

W mgnieniu oka morze zahuczało rozgłośnie — potężne, straszliwe bałwany spiętrzyły się w zielonych głębiach i, wyjąc i rycząc, przewalały się od brzegu do brzegu. Wichura dziko zaświszczała w przestworzach, grzmiały pioruny za kulisami, scene siekł grad, jak opętany... Naraz szalejące z radości „bałwany" przerwały zielone płótno i piętnastu spotniałych statystów — chłop w chłopa — jak jeden mąż, wynurzyło się z zielonej głębi morza...

W sali powstał śmiech nie do opisania, publicznością owładnął szał wesołości.

Dyrektor wyrywał sobie włosy...

Wnuczka Modrzejewskiej na scenie.

„Polak w Ameryce" donusi: Wnuczka Modrzejewskiąj występuje z powodzeniem na scenie amerykańskiej. Jest nią pani Venetia Moore, z domu Zaleska, wnuczka Agnieszki z Bendów, siostry wielkiej artystki. Pani Venetia miała od od dzieciństwa pociąg do teatru i jako dziecko

ośmioletnie występowała w rolach dziecinnych na scenie krakowskiej i warszawskiej. Od lat siedmiu przebywa pani Zaleska Moore w Ameryce i pomnaża swój repertoar tragiczny, który obejmuje takie kreacye, jak: Lady Macbeth, Zara, Kleopatra, Katusia Masłowa, Mine Van Winkle etc. Pani Zaleska-Moore występowała w teatrze „Oratorium Theatre“ w Cansas City, gdzie Modrzejewska dawała jej wskazówki do roli Kleopatry, pozatem w „Boston Theatre“ w Bostonie, oraz w „Wallack's Theatre“ i „Hudson Theatre“ w Nowym Jorku, a nawet przez dwa miesiące widziano ją na scenach w Sydney i Melbourne w Australii. Znawcy wyrażają przekonanie, że pani Zaleska-Moore, która ma teraz lat 23 i od 1 go czerwca b. r. jest zamężną, odziedziczyła talent wielkiej tragiczki i ma przed sobą świetną przyszłość sceniczą.

Chwilowo pani Venetia nie występuje na scenie, nosi się bowiem z zamiarem stworzenia własnej trupy dramatycznej.

DLA ROZRYWKI

Kot i mysz.

Gra towarzyska.

Koło. Mysz w środku, kot na zewnątrz. Kot usiłuje przerwać koło, co gdy mu się uda, myszka wybiega na zewnątrz itd. aż do pochwycenia myszki. Gra odwiecza, ale nader wesoła.

Waryant kotka i myszki stanowią tzw. wiązki, wktórych przyjmuje udział jednakowa ilość pań i panów. Każdy z panów ustawia swoją damę naprzeciwko siebie i każda para tworzy wiązkę drzewa. Pary stają w koło, a są tak oddalone od siebie, ażeby się łatwo było przedostać do koła. Jedna z pań, obrana losem, przybiera postać drwala, a jeden z panów — leśniczego. Drwal ma prawo chronić się przed goniącym go leśniczym w kole i pomiędzy wiązkami, leśniczy zaś biega tylko dookoła, poza obrębem wiązek. Drwal zazwyczaj nie ukrwa się długo w kole i daje się pochwycić leśniczemu, poczem sam staje się leśniczym i goni drugi drwala (tym razem dama kawalera). Rolę tę przybierają kolejno wszystkie osoby, poczynając od tej wiązki, przy której drwal dał się pochwycić. — Jeżeli dama nie chce się dać złapać, to staje przed którąkolwiek z wiązek w środku koła, a wtedy zastępuje ją osoba, zwrócona do niej tyłem. Częsta zmiana osób w wiązkach grę tę bardzo urozmaica.

Uparty pieniądz.

Na cudzej dłoni połóż jakąkolwiek drobną monetę i oświadcz, że jest to pieniądz tak uparty, iż nawet szczotką uprzątnąć się nie da. Na dowód, weź szczotkę od czyszczenia ubrania z dość miękkiem włosiem i trzymając ją zupełnie poziomo staraj się zmieść pieniądz z dłoni. Daremne usiłowania, włos będzie się uginał, a pieniądz ani drgnie z miejsca!

Jeżeli z 30 łokci długiej sztuki sukna codzień będziemy odcinać po jednym łokciu, ile potrzeba będzie dni, aby sztukę pociąć na łokcie?

Odpowiedź. 29.

W pewnej restauracyi stołuje się 10 studentów; umawiają się oni pomiędzy sobą, że codzień siądą do stołu w innym porządku. Pytanie, ile razy to zrobić mogą?

Odpowiedź. Trzy osoby mogą swoje miejsce zmienić 6 razy: cztery osoby $6 \times 4 = 24$; pięć osób $24 \times 5 = 120$; sześć osób $120 \times 6 = 720$; siedm osób $720 \times 7 = 5{,}040$; ośm osób $5{,}040 \times 8 = 40{,}320$; dzie-

więć osób 40,320×9=262,880; dziesięć osób 262,880×10=2,628,800. Na te wszystkie zmiany potrzebowaliby 10,080 lat!

Poproś, aby kto złączył z sobą jaknajmocniej dwie pięście rąk stawami do siebie. Teraz uderz jednocześnie palcem wskazującym prawej ręki po jednej pięści z góry i takim samym lewej ręki od dołu po drugiej pięści, a trzeba wielkiego wysiłku, ażeby się pięście utrzymały w pierwotnej pozycyi.

Łamigłówki.

Arytmogryf.

Ułożył Bol. K. z Poznania.

1 2 3 4 1 6 7 8 9 10 11 12 3 14	
2 11 9	Rodzaj poezyi.
3 1 9 3 2 8	Miasto w Galicyi.
4 2 1 3 14	Pisarz rosyjski.
1 9 7 9	Skaleczenie ciała.
6 1 7 9	Naczynie.
7 2 1 9	Dramat Ibsena.
8 1 2 7 9	Ptak.
9 7 7 9	Imię żeńskie.
10 2 9 1 9	Rzeka w Francyi.
11 14 9 7 9	Bogini polowania.
12 9 4 9 11 3 9	Łamigłówka.
3 2 7 14 9 3	Napój alkoholowy.
14 9 12 2 7	Wódz Argonautów.

Liczby zastąpić należy literami. Słowo pierwsze i litery początkowe tworzą nazwę, jaką nosi obecny rok w Polsce.

Metagram.

Z literą u w środku
Zbior to mnóstwa ludzi;
Gdy zaś ó tam stanie,
Każdy żar ostudzi. „Z.“

Dokładne rozwiązania łamigłówek prosimy nadsyłać najpóźniej do 11. sierpnia na ręce redakcyi.

Z rozwiązań trafnych 4 odznaczone zostaną nagrodą.

Nazwiska osób, które dobre nadeślą rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w nr. 34.

Rozwiązania

łamigłówek zamieszczonych w nr. 30.:

I. **Arytmogryf.**

Słowacki
Łosoś
Oko
Wisła
As
Cło
Kawa
I

SŁOWACKI.

II. **Szarada:** Te — ka.

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z Galicyi:

pp. Mieczysław Biernakiewicz, Michał Brzozowski, Tadeusz Burzyński, Konstanty Cag, Michał Chciuk, Justyn Cholewik, Władysław Dubaj, Marya Dunicz, Edmund Gibisz, Zofia Glazowa, Zofia Halewska, Franciszek Kądziela, E. Kamiński, Helena Koczwara, Aleksandra Korotkiewiczowa, Henryk Królicki, Julian Krzysztofowicz, R. Kulczycki, A. Manheimer, Helena Myconiówna, Tadeusz Nodzyński, ks. Wincenty Osikowski, Alina Panasiewiczówna, Józef Poncza, Jan Pyszko, Wanda Rostkówna, Wilhelm Rückemann, Stanisław Sierosławski, J. Steindl, Piotr Stolarzewicz, Adam Świerkosz, Kazimierz Szeliga, Stanisław Szostak, Władysław Trybała, Anna Wełnianka, Wikcia Wendorff, T. Weseli, Zdz. Zaremba.

Z Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska:

pp. Kazimierz i Stanisława Balcerscy, Marya Baranowska, „Błędne Koło“, Marya Buchholzówna, Stanisława Graczyk, „Janek z pod Góry Przemysława“, Mieczysława Jarmuż, Fr. Kempski, Marya i Leokadya Konopińskie, Zofia Kowalewska, Zygmunt Krajewski, Leszek Kwieciński, Stanisław Markowiak, Julcia Ozdowska, Helena Piechowiak, Stanisław Pietrzak, Ludwika Polaszyk, Piotr Promiński, Zofia Przybyszewska, Teodora Reimer, Floryan Sauer, Janina Smodlibowska, Zofia Skwierczyńska, Marya Śniegocka, Marya Voelkel, Zofia Wachowska, Tadeusz Węclewicz, Marya Wittówna.

Z obczyzny i zagranicy:

pp. Ludwika Bock (Berlin), Stefania Dużyńska (Dolne Łużyce), Władysław Muth (Karlshorst), Władysław Sokołowski (Berlin), Emilia Świątkowska (Monachium), Walerya Vogtowa (Wattenscheid).

Nagrodę otrzymali:

pp. Helena Myconiówna z Dąbrowy, Marya Śniegocka z Poznania, Marya Buchholzówna w Ostrzeszowie, Kazimierz Szeliga w Brzezówce.

Maurice Leblanc.

Arseniusz Lupin,
wytworny włamywacz.

Przekład **J. P.**

(Ciąg dalszy).

— Przepraszam — chłopak wychodził na miasto. Tego samego rana, gdyście go państwo zastali nad książką, był w szkole. Sprawiedliwość, zamiast zużywać całej swej energii w kierunku niewinnej matki, dałaby dowód większego sprytu, przetrząsając stolik i książki szkolne dziecka.

— Niech i tak będzie! Lecz co znaczą te dwa tysiące franków, które Henryka odbierała co rok... Czy to nie najlepszy dowód jej wspólnictwa?

— Czyż będąc wspólniczką mogłaby wam, szanowni państwo, za te pieniądze dziękować? Zresztą, czyż nie śledzono jej bacznie? Tymczasem dziecku pozostawiono wszelką swobodę, łatwo mógł pobiedz do sąsiedniego miasta, porozumieć się z pierwszym lepszym paserem i za jakąbądź cenę sprzedać mu to jeden brylant, to dwa... zależnie od potrzeby... pod warunkiem, że pieniądze wysyłane będą z Paryża... wzamian za to co rok miała nastąpić transakcya podobna...

Ciężka, przygniatająca atmosfera zawisła nad całem towarzystwem. Po za niesłychaną pewnością w głosie i zachowaniu się Floryaniego było jeszcze coś, co od początku podraźniło silnie pana de Deux-Soubise. Był to jakby cień ironii, ironii raczej wrogiej, niż tchnącej życzliwością — jakby się spodziewać należało.

Hrabia udawał wesołość.

— Wszystko to — mówił ze sztucznym śmiechem — jest pomyślane genialnie... jestem poprostu zochwycony... Winszuję. Co za bogata wyobraźnia!

— Ależ nie, nie! — zawołał Floriani poważnie — niefantazyuję bynajmniej. Wywołuję tylko warunki, które nieodwołalnie musiały być takie, jak wam je ukazuję.

— Co pan wiesz o tem wsystkiem?

— To tylko, co mi pan powiedziałeś przed chwilą. Odtwarzam w myśli życie matki i dziecka, tam, w tej głuchej prowincyi· Widzę chorobę matki, pomysły i wybiegi chłopca, aby sprzedać kamienie i uratować życie matki... a przynajmniej by tyochę złagodzić jej ostatnie chwile. Zło zwycięża. Matka umiera. Upływają lata. Dziecko wyrasta na mężczyznę. I wtedy... teraz puszczam wodze swej wyobraźni — człowiek ten uczuwa jakąś potrzebę powroto do miejsc, gdzie spędził lata dziecinne, pragnie spojrzeć na te ściany — odnaleźć ludzi, którzy podejrzewali, oskarżali jego matkę... Wyobraźcie sobie ile bolesnego uroku przedstawia dla niego stary dom, gdzie się rozegrały wszystkie sceny dramatu?

Słowa jego rozlegały się w ciszy pełnej niepokoju.

Na twarzach państwa de Dreux malował się wysiłek szalony, aby uchwycić prawdę, a jednocześnie lęk straszny przed tą prawdą.

Hrabia szepnął:

— Kto pan jesteś?

— Ja? jestem Floriani, z którym się pan zapoznałeś w Palermo i którego raczyłeś łaskawie zapraszać do siebie kilkakrotnie.

— Cóż więc znaczy cała ta historya?

— O, nic szczególnego! Zwykła zabawa towarzyska. Próbuję sobie wyobrazić radość, jakiej by doznał syn Henryki, jeżeli jeszcze żyje — oświadczając państwu, że on jest jedynym winowajcą... że kradzież popełnił dlatego, że jego nieśliwa matka zagrożoną była utratą miejsca... służącej, które stanowiło jedyne jej utrzymanie... a dzieciak cierpiał nad udręczeniem matki.

Mówił z tłumionem wzruszeniem, zwrócony ku hrabinie. Wątpliwości nie mogło być najmniejszej. Floriani był synem Henryki. Świadczyło o tem całe jego zachowanie się, wszystkie słowa. Zresztą, czyż nie było to jego życzeniem oczywistem, wolą wyraźną, aby zostać poznanym?

Hrabia wahał się. Jak ma się zachować wobec zuchwalca? Zadzwonić? Wywołać skandal? Zdemaskować człowieka, który ograbił go, będąc dzieckiem? Lecz od tej chwili tyle lat upłynęło! Któż zresztą, zechciałby uwierzyć w podobną niedorzeczność, w winę dziecka? Nie, lepiej było pogodzić się z losem, udawać, że się nie domyśla prawdy. Zbliżając się więc do Floriani'ego, zawołał ze sztuczną wesołością:

— Powieść pańska jest niezwykla zajmującą. Daję panu słowo, że mnie perywa. Cóż jednak, zdaniem pana stało się z tym wzorowym synem? Mam nadzieję, że się nie zatrzymał na tak pięknej drodze?

— O, zapewne, że nie!

— Nie prawdaż? Po tak świetnym debiucie! W szóstym roku życia ukraść naszyjnik królowej, słowny naszyjnik, którego tak pożądała Marya Antonina.

(Dokończenie nastąpi.)

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

WRZOS

POWIEŚĆ. NR 32

(Ciąg dalszy).

— Zresztą — dodał prezes — jest osią i trybem wszystkich dobroczynnych i miłosiernych zakładów i temu tylko oddaną!

— Tatku, ja proszę o Ramszycową! — skoczyła Kazia do prezesa uszczęśliwiona.

— Dostaniesz ją, dostaniesz. Jeszcze cię zamęczy i będziesz prosiła łaski! — śmiał się prezes.

Radlicz spojrzał na zegarek.

— O siódmej spotkamy się w Alejach!

— Ach, to jedźmy — prosiła.

— Każ zaprzęgać! — rzucił Andrzej do lokaja.

Przeszli na kawę do salonu, i po chwili oznajmiono powóz.

— Spotkamy całą Warszawę w Alejach. Będę pani ludzi nazywał, a pani mi ich charakteryzować! — zaproponował Radlicz. Ubawimy się setnie.

— No nie, bo z tego urośnie plotka na milę! — zaprotestował Andrzej. — Już ja znam twój język.

Wsiedli do powozu, malarz naprzeciw Kazi, i ruszyli.

Już na Nowym Świecie był tłok pieszych i powozów.

Panowie co chwila unosili kapeluszy; malarz przedstawiał mijanych ludzi.

— Stara Westenhauzowa z córką i Turciem. Ciekawym na kogo on się wreszcie zdecyduje: na matkę, czy na córkę.

— Zdaje mi się, że już dawno po decyzyi! — mruknął Andrzej.

— O jakie śliczne szpaki! — zawołała Kazia.

— To Menczówna Kołockiego. Ładna i co za kolczyki! Jakąś nową przyjaciółkę obwozi.

Ukłonili się wszyscy trzej jakiejś otyłej damie z dwiema pannami.

— Baronowa Brandt z córkami. Najstraszniejsze plotkarki z całej Warszawy. Boże, jak one panią oglądają łapczywie. Ten stary, łysy, to Orzechowski, krytyk i literat — rzeźnik! ludożerca! O! jest i hrabia Kocio z Kołockim.

Minęła ich dorożka na gumach, w której rozparci dwaj panowie ukłonili się, poczem Kołocki coś szepnął, obejrzeli się raz jeszcze.

— Masz — jest i Ramszycowa! — rzekł prezes.

— Gdzie, gdzie? — zaciekawiła się Kazia.

— Ta, co sama powozi wolantem. O! staje i rozmawia z młodym Jóźwickim redaktorem.

Kazia spojrzała.

Młoda to była kobieta, śniada, nieładna, bardzo elegancka. Obok niej siedziała dziewczynka kilkoletnia z pińczerem w objęciach, za niemi stangret w stereotypowej pozie.

Rozmawiała z redaktorem bardzo żywo, polecała mu coś, tłómaczyła, twarz jej drgała życiem i inteligencyą, trochę nawet zuchwalstwem. Wreszcie podała rękę Jóźwickiemu, skinęła mu głową i ruszyła dalej, patrząc ponad głowy ludzkie i machinalnie skinieniem odpowiadając na powitania.

Zrównała się z powozem Sanickich, spojrzała na nich, sekundę zatrzymała oczy na Kazi i pomknęła dalej.

— No, jakże ci się podoba? — spytał prezes.

— Ogromnie. To jej córeczka?

— Jej jedynaczka. A to ich pałacyk. Dalej pojechała, do Łazienek zapewne.

Aleje były pełne.

Nieprzerwany ciąg powozów sunął w dół, skręcał do Łazienek, lub dalej do rogatek. Kazia słuchała oszołomiona objaśnień Radlicza, nazwisk, stanów, skandali, złośliwych dwuznaczników i zamykała chwilami oczy, bo czuła w głowie chaos.

Pełne tłumu były chodniki, ławki, cukiernie, ogródki, szum, turkot, parskanie koni, dzwonki tramwajów, zaduch końskiego potu, kurzu, kwitnących lip, ludzkich oddechów, wszystko się mieszało. I tłum, mrowie, fala ludzka!

Nareszcie koło rogatek spotkali Dąbskich. Tunia, królująca wśród dwóch sióstr i młodego Narkhama, poczęła dawać im znaki czerwoną parasolką.

Stanęli.

— Dokąd państwo?

— Do Wilanowa!

— I my. Świetnie. Tylko Julek gdzieś nam się zapodział. Nie widzieliście go?

— Znajdzie się! Na to on mąż, by się odnalazł — rzekł Radlicz. A nie będzie go — mniejsza! — Mogę go zastąpić!

Dąbska pogroziła mu parasolką. Dwie jej siostry sztywne, ostatnie słowo mody, blade, cieniutkie i wątłe, uśmiechały się, jak porcelanowe laleczki.

Spotkamy się zatem! — zakończył prezes znudzony tem staniem, bo się wokoło już gawiedź skupiała.

W tem obok nich przejechał powóz. Siedziała w nim samotna dama, bardzo piękna, elegancko, trochę za jaskrawo ubrana. Andrzej i Radlicz ukłonili się, prezes nie. Dama badawczo, bystro wpatrzyła się w Kazię, aż ta poczuła to spojrzenie i podniosła oczy.

Spotkały się wzrokiem; dama uśmiechnęła się lekko, ale tak, że Kazię to tknęło.

— Kto to taki? — spytała Radlicza.

— To jest pani von Reuter! — odparł tenże z dziwnym uśmiechem.

Na skronie Kazi wybiegł rumieniec. Tunia już jej opowiedziała wszystko o stosunkach męża! A zatem to była ona, ta czarodziejka, która go trzymała w swojej władzy i pod swoim urokiem tyle lat.

Nie śmiała spojrzeć na Andrzeja, dałaby wiele, żeby módz cofnąć pytanie.

Szczęściem zjawił się Dąbski w dorożce, szukający żony i nadjechała Ramszycowa. Miała już towarzyszkę jakąś chudą, niemłodą, źle ubraną damę, z którą żywo rozmawiała. Minęła lando Sanickich i pomknęła za rogatki.

— Ciekawym, dokąd Ramszycowa wiezie Osiecką. To moja koleżanka, malarka! — objaśnił Radlicz Kazię.

— Dwie fiksatki! — rzekł Andrzej.

Wyjechali oni za rogatki, ale było to jeszcze miasto: brudniejsze, bezładniejsze, ale miasto. Co krok ogródki, bawarye, restauracye i tłum po nich topniał, szukając powietrza, mając złudzenie wsi, drzew, cieniu. Majówka, Wiązanka, Sielanka nazywały się te ponętne ustronia. Pełne stolików i ławek, parkanów, altan, brudnych służących, szczęku szkła i talerzy, wałęsających się psów, swędu kuchni, dźwięku rozbitych fortepianów, i szczęśliwego z tych rozkoszy wiejskich tłumu.

— Warszawa używa wsi! — rzekł prezes.

Kazia się uśmiechnęła.

— Co pani myśli? — podchwycił Radlicz.

— Myślę, czy biedniejsza wieś w tej parodyi czy ludzie, którzy innej nie widzieli.

— Dla mnie mogłaby najpiękniejsza nie istnieć — rzekł Andrzej. — Nie znam nic wstrętniejszego nad wieś i jej rozkosze.

Milczała.

Radlicz zaprotestował.

— Jabym może niepotrafił jej być wiernym, ale bywam w niej rozkochany co rok. Co lato miewam głód przestrzeni i rozkoszuję się na letnich wycieczkach. Tam się inaczej żyje, myśli, nawet kocha. Ale myślę ze zgrozą, jak ludzie mogą spędzić na wsi listopad lub marzec!

Wściekłbym się! Czy pani nawet te miesiące lubi tam.

— Bardzo. Latem wre i kipi praca, pochłania czas i myśli. Miejskie wakacye to dla wieśniaka ciężka kampania, znojny i troskliwy okres. Jakże mile się wita długie jesienne wieczory! Wtedy się czyta, kształci, uczy i wypoczywa.

— Alboż młode panny pracują na wsi?

— Zapewne są i takie, które się bawią. Ja pracowałam i listopad wspominam równie mile, jak kwietny maj.

— Jakże pani pracowała? Zapewne smażyła pani konfitury i preparowała różne smakołyki!

Uśmiechnęła się.

— Robiłam i to, ale bardzo dawno, zaraz po powrocie z klasztoru, kiedy ojciec nie wierzył, czy co więcej potrafię. Byłam szafarką i gospodynią, potem byłam rachmistrzem cały rok pod ferułą buchaltera.

— Bagatela, posiada pani buchalteryę.

— Czy to takie trudne! Potem od trzech lat zarządzałam już samodzielnie całem nabiałowem gospodarstwem. To ciężka praca.

Spojrzał na nią, nie rozumiejąc.

— Przecie tem się zajmują dojarki, pastuchy i klucznice.

— Tak, cała brygada ludzi. Miałam w swym zarządzie siedemdziesiąt osób służby, bo oprócz mleka miejscowego, zwożono nabiał z całej okolicy i przerabiano na naszych centryfugach. Rachunki duże i drobiazgowe, z dostawcami, z odbiorcami, z zarządem miejscowym, obrót roczny dochodził piętnastu tysięcy rubli, a robota zaczynała się codzień o piątej z rana, kończyła o dziesiątej wieczorem! Więc listopada oczekiwałam z utęsknieniem, bo się było fizycznie zmęczoną, a umysłowo ogłupiałą.

— Jakiż mus, czy pokuta kazała pani tak się zamęczać?

— Żaden mus. Byłam rada i dumna, że czemś jestem i coś czynię. Pokutą by mi było nic nie robić. Za nic tak wdzięczna nie jestem ojcu, jak za to, że mnie pracować nauczył.

Spojrzała w dal, odetchnęła głębiej, bo wydostali się przecie w pole — i rzekła poważnie:

— Jak się niema matki, trzeba pokochać pracę. To miłość, co nigdy nikogo nie zdradzi.

Radlicz, który wyjechał, by żartować i bawić się, a potem w śmiech chciał obrócić jej pracę, mimowoli spoważniał. Gdyby to zdanie wygłosiła inna panna, chorująca na reklamę z emancypacyi i samodzielności, odpowiedziałby sarkazmem, ale gdy patrzał na tę twarz jasną i delikatną, pełną kobiecego wdzięku i prostoty, gdy słyszał w głosie szczerą wesołość i młodzieńczy zapał, poczuł dla niej zachwyt i wielką sympatyę, i chęć zajrzenia głębiej w tę duszę, tak inną, tak świeżą, tak nadzwyczajną. Obudził się w nim artysta, utajony marzyciel.

Była, jak kwiat dziki, ze szczytów, lub odludzia przeniesiony igraszką losu na bruk. Kwiat, który chowało słońce, rosa, ziemia bujna, a który kochać i czynić nauczyły pszczoły.

Ona, nieświadoma wrażenia, które nań wywierała, rozglądała się wokoło; nozdrza jej się rozdymały, jaśniały radością oczy.

— Ojcze — zwróciła się do prezesa, cała uśmiechnięta — wolno mi będzie wyjeżdżać konno, aż za rogatki raniutko, jak jeszcze bywa pusto?

— Wolno, pewnie, ale któż z tobą pojedzie?

— Staszek.

— Tu raniutko bywa tłok wozów na targi.

— Koloniści i zbóje cała publika! — wtrącił Andrzej. — Najlepsza sposobność być zaczepioną grubijańsko!

— Więc nie jechać? Dobrze! To wrócę od Belwederu — rzekła łagodnie.

— Pozwoli pani, będę eskortował na rowerze — rzekł Radlicz.

— Nie bądź taki ofiarny! — zaśmiał się prezes. Ona wstaje przed stróżami. Wyjeżdża przy zapalonych jeszcze latarniach!

— Zkąd ojciec wie? — zaśmiała się.

— Wyobrażam sobie, bo gdy oczy otwieram, słyszę, że dom już w ruchu i pokoje sprzątnięte. Lada dzień cała służba nasza zemknie.

— Założę się, że spotkam jutro panią koło Belwederu.

— Może, jak się wcale spać nie położysz?

— No — nareszcie Wilanów! — rzekł Andrzej tonem ulgi. — Dąbscy już zajęli pół werendy. Patrzcie: konie Ramszycowej stoją.

Wysiedli, wnet zagarnęła ich Dąbska, zmieszali się z kompanią, potworzyły się kółka. Prezes mówił z Dąbskim, Andrzej z Markamem. Kazia słuchała roztargniona trzepania Tuni, szermierki jej języka z Radliczem, który odzyskał swój swawolny humor.

— Nie pójdziemy do parku? — spytała wreszcie, widząc, że się zanosi na długą gawędę i jedzenie.

— Poco? Albo nam tu źle! Nikogo tam dzisiaj nie spotkamy znajomego! — zaprotestowała Dąbska.

— A topole prawić będą stare baje o Sobieskim — zaśmiał się Radlicz.

— Przyroda jest monotonna! — wtrąciła któraś z panien. Pół roku chodzi w zieleni, pół roku w czerni, i tak w kółko od początku świata.

— Nie w czerni, ale nago, i z tem jej nie do twarzy, bo koścista i sucha! — dorzucił malarz.

Kazia uśmiechnęła się, ale nic nie rzekła.

— Chce ci się parku, chodź ze mną! — zaproponował prezes.

Powstała uradowana, i wsunąwszy rękę pod jego ramię, spojrzała mu serdecznie w oczy.

— Złoty tatuś! — szepnęła mu, idąc ku bramie.

— Ciekawym, czy Markham reflektuje na seryo co do tej starszej? — rzekł, gdy byli już w parku.

— Jakto? — nie rozumiała.

— Ano, stara się o nią. Dąbski mi mówił, że matka daje pięćdziesiąt tysięcy, ale chce przy nich zamieszkać — i Markham się namyśla! To porządny chłopak, przyjaciel i kolega Andrzeja.

— Andrzej powinien mu zatem dodać odwagi — zauważyła złośliwie.

W tem naprzeciw nich ukazała się Ramszycowa z ową malarką; prezes się ukłonił, ona stanęła, podała mu rękę.

— Witam pana. Gdzie się prezes chowa, że go się nie spotyka? — rzekła swobodnie.

— Siedzę w domu, bo mam młodą gospodynię.

— To pana synowa! Proszę nas zapoznać!

— Spełnię jej marzenie.

— Bo co?

— Bo mi ojciec mówił, że pani rada pracuje, a ja mam tyle wolnego czasu do ofiarowania! — odpowiedziała Kazia z prostotą.

— Ślicznie, na czas i dobre chęci ja kupiec. — Biorę panią w antrepryzę. Jutro rano wstąpię po panią i zaprzęgnę do roboty! Załatwione. A teraz przedstawię pani moją bratnią duszę — panna Osiecka, pani Sanicka.

Malarka ukłoniła się sztywnie, świdrując Kazię oczyma krytycznemi.

Szli teraz wszyscy razem, i Ramszycowa mówiła.

— Ciekawam, jak też sobie pani pracę przedstawia?

— Jako szczęście! — odparła szczerze Kazia.

— Oho! Krótko i mocno! Podoba mi się pani.

— A pani mnie.

Roześmiały się.

— Ona istotnie ma pasyę do pracy! — wtrącił prezes.

— To dobrze! Ludzie bez pasyi warci co najwięcej szubienicy.

— Oho ho! — zaprotestował prezes — bywają pasye, warte szubienicy!

— Nie — takim należy zawsze więcej honoru: kula w łeb.

— Zwróciła się do Kazi.

— Ale niech się pani nie spodziewa w pracy ze mną towarzyskich przyjemności! Z zasady nie lubię stowarzyszeń, a tem mniej stowarzyszeń damskich. Należałam do wielu, i ze wszystkich się usunęłam.

— Z wielką szkodą dla instytucyi! — wtrącił prezes.

— Ale z wielką radością członków, bo byłam wiecznie w opozycyi i gadałam impertynencye. Co mam dać, dam sama, co mam robić, wiem sama...

— Jednakże zbiorowy czyn! — zaczął prezes.

— Niech pan powie: zbiorowe paplanie! — przerwała niecierpliwie.

— Nie mogę, łaskawa pani, przez galanteryę dla płci pięknej! — zaśmiał się.

— Otóż właśnie. Galanterya... płeć piękna... Co za absurdy! Zbydlęciliście tem kobiety! Jeśli wam i im z tem dobrze, to i owszem, ale wy nie zawracajcie głowy czcią dla nich, bo to fałsz, a one niech nie napełniają świata wrzaskiem o emancypacyi, bo ten wrzask — to gęganie! A teraz żegnam państwa, jutro o dziesiątej zabieram panią do roboty.

Uścisnęli dłonie i Ramszycowa zawróciła ku wyjściu.

— Cóż, jakże ci się podoba? — spytał prezes.

— Zazdroszczę jej siły i odwagi!

— Ba, jest na to milionerką i angielką. O nic i nikogo nie dba.

— Męża jej zna ojciec?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy.)

Rogowski wypełnił zlecenie. Namówił z łatwością Pułaskiego i Kościuszkę, aby się z obiadem do gwiazd wstrzymali i zmienili go obyczajem polskim na wieczerzę. Oba podklasnęli tej myśli. Dzień zszedł szybko, poszli oglądać okolicę nad brzegi Delawary, potem wrócili... nic nie zobaczywszy, bo nad nią stojąc, mówili o Wiśle i Bugu. Nastręczała się też sposobność mówienia obszernego i o Ameryce; Kościuszko przybywał od armii północnej; rozpowiadał o niej, o generale Gates, o Washingtonie, mówiono o Francyi, wyglądając od niej posiłków.

Wierzyli wszyscy w powodzenie dobrej sprawy; inne to były czasy, dziś — w dobrej sprawie tylko pognębienie wierzym....

Nareszcie przyszedł wieczór; na wypogodzonem niebie pokazał się krzyż południa... coraz ciemniejszy szafir okrywać się począł tysiącem iskier, jakby na ucztę zapalonych.... Karól już tylko oczekiwał na ukazanie się gwiazd — był w gotowości.

Serce mu biło jak swawolnemu studentowi, który zamierza dobrego spłatać figla... wbiegł do ogródka, po którem się przechadzali i uśmiechając rzekł do Pułaskiego:

— Panie generale, wieczerza na stole!

— A! wieczerza! tak! — podchwycił gospodarz — żartuj zdrów! co mi to za wieczerza w Ameryce! Nie polska to nasza owa wilia braterska, uczta święta, ale... co Bóg dał, chodźmy...

Ująwszy pod rękę Kościuszkę, zmierzał na górę, gdy Karól wskazał mu drzwi na dole.

— To tu — rzekł.

— Tu? — spytał Pułaski — cóż to jest?

— Tak nam wypadło, — odpowiedział Karól..

W tem drzwi murzyn, kryjąc się za niemi, otworzył.

Salka przedstawiała widok niezwyczajny i na tem wygnaniu niespodziany. Naga izba ubrała się świątecznie, ściany jej zawieszone były zielonemi gałęźmi cedrów, jodły i cisów, stół świecił rzęsisto... okryty białym obrusem, pod którym siana domyślać się było można. W kącie stał ogromny snop zboża, jeśli nie gatunkiem jego, to formą przypominający nasze godło pracy rolniczej.

Stary murzyn w czerwonej koszuli stał u drzwi pokazując resztę białych zębów... Na talerzach świeciła migdałowa polewka z ryżem i rodzenkami, o którą pono było najłatwiej.

Pułaski jak olśniony stanął w progu, zobaczył naprzód na talerzu opłatki; odwrócił się do Karóla i ze łzami prawie porwał go za szyje całując.

— Poczciwy, kochany przyjacielu. — zawołał rozrzewniony — chyba twe złote serce dokazać tego mogło, byśmy tułacze, na obcej ziemi tym chlebem żywota... ojczysty sobie obyczaj mogli przypomnieć. Niech ci to Bóg nagrodzi, aby po latach pielgrzymki, syt chwały, z głową usrebrzoną, położył kości na tej ziemi naszej, krwią męczenników przesiąkłej...

Drżącą ręką chwycił Pułaski opłatek i podał go pierwszemu Kościuszce...

— Gdy w Polsce rozłamiesz go kiedyś z braćmi, przypomnij mnie i Trenton, — rzekł cicho.

Czy łza nie stoczyła się nań i nie poświęciła nie wiem.

Milczący, i poważni jak kapłani, uroczyście jak w świątyni, z myślą do Boga wzniesioną, do ojczyzny, do ludzkości... łamali się tułacze chlebem życia. na ziemi wygnania, a myśl ich i serca biegły tam, gdzie do nich także biły piersi stęsknione, rodziny, braci... przyjaciół.

Ciąg dalszy nastąpi).

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Nie będę czytał — rzekł Maurycy. — Oświadczam i zaprzeczam, iżbym miał kiedy widzieć kawalera de Maison-Rouge, iżbym miał z nim kiedy mówić. A kto nie zechce wierzyć mojemu słowu honoru, niech mi przyjdzie to powiedzieć, a wiem jak się z nim rozprawię.

Prezes wzruszył ramionami. Maurycy, nie chcąc nikomu być dłużnym, uczynił to samo.

Dalszy ciąg posiedzenia odbył się ponuro i obojętnie.

Po posiedzeniu, prezes, jako dobry patryota, głosem współobywateli wyniesiony na zwierzchnika okręgu, zbliżył się do Maurycego i rzekł mu:

— Pójdź ze mną Maurycy, mam ci coś powiedzieć.

Maurycy udał się za prezesem, który go zaprowadził do małego gabinetu przyległego sali posiedzeń

Tam spojrzał mu w oczy i położywszy rękę na jego ramieniu, rzekł:

— Maurycy, znałem i poważałem ojca twego, dla tego też poważam cię i kocham. Wierz mi, że narażasz się na wielkie niebezpieczeństwo, powodując się brakiem wiary, który najpierwej prowadzi do upadku umysł prawdziwie rewolucyjny. Mój przyjacielu, kto traci wiarę, traci i wierność. Nie wierzysz w nieprzyjaciół narodu; ztąd wynika, że przechodzisz koło nich, nie widząc ich, i że mimowolnie stajesz się narzędziem ich spisków.

— Co u dyabła! obywatelu — mówił Maurycy — znam siebie, jestem pełen odwagi, pełen gorliwości patryota; lecz ta gorliwość nie zaślepia mię, a patryotyzm nie czyni mnie fanatykiem; otóż dwadzieścia mniemanych spisków, które rzeczpospolita podpisuje tem samem nazwiskiem. Żądam raz na zawsze pokazania mi odpowiedzialnego ich wydawcy.

— Nie wierzysz w spiskowych — przerwał prezes — a więc, powiedz mi czy wierzysz w pąsowy goździk, za który gilotynowano wczoraj młodą Tison.

Maurycy zadrżał.

— Czy wierzysz w podziemie wykopane pod ogrodem w Temple i łączące piwnicę obywatelki Plumeau z pewnym domem przy ulicy de la Corderie?

— Nie — rzekł Maurycy.

— A więc, uczyń jak niewierny Tomasz: pójdź i zobacz.

— Nie jestem na służbie w Temple i nie wpuszczą mię tam.

— Teraz już wszystkim wolno tam wchodzić.

— A to jakim sposobem?

— Czytaj raport kiedyś tyle niewierny, odtąd ci tylko urzędowe dowody pokazywać będę.

— Jakto! — zawołał Maurycy czytając raport — czy aż do tego przyszło?

— Czytaj dalej.

— Przenoszą królowę do Conciergèrie!

— I cóż — rzekł prezes.

— Ah! ah! — wykrzyknął Maurycy.

— Sądzisz więc, że to skutkiem snu, skutkiem tego, co nazywasz urojeniem, czczą gadaniną, na czem ścisłe postępowanie się opiera, które do chronienia publicznego dobra zaprowadzono?

— To postępowanie zaprowadzono, lecz tak mało bywa przestrzegane jak wiele innych, a to jest wszystko...

— Czytaj do końca — rzekł prezes. I podał mu ostatnią kartkę.

— Karta potwierdzająca Richarda, zarządzcy więzienia Conciergèrie... — zawołał Maurycy.

— Została tam przed dwiema godzinami osadzoną.

Maurycy został w zamyśleniu.

— Wiesz o tem, że gmina — mówił dalej prezes — działa z głębokim namysłem, oblicza wszystko, jej środki nie są dziecinnemi zabaw-

kami. Czytaj tajemne doniesienie ministra policyi.

Maurycy czytał.

„Zważywszy iż mamy przekonanie, że były kawaler de Maison Rouge znajduje się w Paryżu, że w rozmaitych miejscach był widzianym, że ślady bytności swojej w rozmaitych sprzysiężeniach pozostawił, upraszam wszystkich przełożonych sekcyi o zdwojenie czujności...“

— Cóż więc — zapytał prezes.

— Muszę ci wierzyć, obywatelu prezesie — zawołał Maurycy i czytał dalej:

„Rysopis kawalera de Maison-Rouge: 5 stóp i 3 cale, włosy blond, oczy niebieskie, nos równy, broda ciemno-brunatna, miły głos, ręce małe... trzydzieści pięć do sześciu lat wieku.“

Przy czytaniu tego rękopisu przemknęło jak błyskawica przez umysł Maurycego: przypomniał sobie owego młodego człowieka, który elegantami dowodził, który wczoraj jego i Lorina uratował nacierając na marsylczyków.

— Boże! — pomyślał Maurycy — czy to on był? a w takim razie oskarżenie nie byłoby fałszywem, iż widziano mię z nim rozmawiającego. Tylko nie przypominam sobie, czy mu rękę uścisnąłem.

— I cóż Maurycy! — spytał prezes — co teraz na to wszystko powiesz, mój przyjacielu?

— Powiem, że wierzę ci, obywatelu — odrzekł Maurycy smutnie rozmyślając; bo od jakiegoś czasu, nie wiedząc co za niegodziwy wpływ zasmucał dni jego, wszystko obok siebie widział w cieniu.

— Nie narzekaj tak twej popularności, mój Maurycy — mówił dalej prezes. — Popularność dziś stanowi życie. Niepopularności zaś, strzeż się! Jest to podejrzenie o zdradę, a obywatela Maurycego Lindey nikt o nią posądzać nie powinien.

Maurycy nie mógł nic zarzucić zasadom, które sam podzielał. Podziękował staremu przyjacielowi i wyszedł z sekcyi.

— Ah! — rzekł westchnąwszy — odpocznijmy nieco, dosyć już tych podejrzeń i walk. Pójdźmy cieszyć się pokojem, niewinnością i radością; pójdźmy do Genowefy.

I udał się na starą ulicę św. Jakuba.

Gdy przybył do garbarza, Dixmer i Morand podtrzymywali Genowefę, która cierpiała na gwałtowne osłabienie nerwów.

Dla tego też, przeciw zwyczajowi, ołużący nie chciał go wpuścić.

— Oznajmij mię jednak — rzekł niespokojny Maurycy — a jeżeli Dixmer nie może przyjąć mnie, natychmiast odejdę.

Służący wszedł do małego pawilonu; Maurycy zaś pozostał w ogrodzie.

Zdało mu się, że dziwnego coś zajść musiało w tym domu. Rzemieślnicy porzuciwszy robotę, niespokojni przebiegali ogród.

Sam Dixmer przyszedł aż do drzwi.

— Pójdź — rzekł — pójdź, kochany Maurycy, ty nie należysz do rzędu osób, przed któremi drzwi zamykamy.

— Cóż się stało? — spytał młodzieniec.

— Genowefa jest cierpiąca — rzekł Dixmer — i bardziej niż cierpiąca, bo nawet wpadła w malignę.

— Ah! mój Boże! — zawołał młodzieniec ubolewając, że i tu znalazł zamięszanie i cierpienia. — Cóż się jej stało?

— Wiesz, mój kochany — odpowiedział Dixmer — że nikt się nie zna na chorobach kobiet, a mianowicie mąż.

Genowefa leżało na szezlągu. Przy niej stojący Morand podawał jej trzeźwiące sole.

— I cóż? — spytał Dixmer.

— Zawsze to samo — rzekł Morand.

— Heloizo! Heloizo! — szepnęła młoda kobieta przez blade usta i zaciśnięte zęby.

— Heloizo! — powtórzył zdziwiony Maurycy.

— Ej! dla Boga! tak jest — żywo przerwał Dixmer — nieszczęście chciało, że Genowefa wyszła wczoraj i widziała jak wieziono nieszczęśliwą Heloizę Tison pod gilotynę. Od tej pory kilka już miała paroksyzmów i ciągle powtarza to imię.

— Uderzyło ją mianowicie to — dodał Morand — że w tej dziewczynie poznała kwieciarkę, która sprzedała jej wiadomy ci goździk.

— Pewno, że wiadomy, bo tylko co z jego przyczyny nie ucięto mi głowy.

— Wiedzieliśmy o tem, kochany Maurycy, i wierz, że okropnie to nas przeraziło. Ale Morand był na posiedzeniu i widział, żeś wyszedł wolny.

— Cicho — rzekł Maurycy — zdaje mi się, że ona znowu coś mówi.

— O! same tylko przerywane, niezrozumiałe słowa — wtrącił Dixmer.

— Maurycy — szepnęła Genowefa — zabiją Maurycego. Spiesz kawalerze, spiesz!

Po tych kilku słowa nastąpiło głębokie milczenie.

— Maison-Rouge — szepnęła znowu Genowefa — Maison-Rouge!

Maurycemu podejrzenie jak błyskawica przebiegło po głowie; lecz była to tylko błyskawica. Wreszcie zbyt go mocno wzruszały cierpienia Genowefy aby mógł zastanowić się nad jej słowami.

— Czyście przywołali doktora? — spytał.

— O! nic to nie jest niebezpiecznego — rzekł Dixmer — nieco maligny i nic więcej.

I tak mocno ścisnął rękę żony, że Genowefa przyszła do siebie, a lekko krzyknąwszy otworzyła oczy dotąd ciągle zamrużone.

— Ah! jesteście wszyscy — rzekła — i Maurycy z wami. O! jakże mi miło że cię widzę, mój przyjacielu; o gdybyś wiedział ilem...

I poprawiając się dodała:

— Ileśmy od dwóch dni ucierpieli.

— Tak jest — rzekł Maurycy — jesteśmy wszyscy; uspokój się pani i nie trwóż się więcej, bo jest mianowicie jedno nazwisko, od którego wspomnienia koniecznie odwyknąć należy, ze względu na jego zbyt wielką szkodliwość w tej chwili.

— A jakież to nazwisko? — żywo spytała Genowefa.

— Nazwisko kawalera de Maison-Rouge.

— Alboż ja wymieniłam kawalera de Maison-Rouge? — rzekła przerażona Genowefa.

— Tak jest — z przymuszonym uśmiechem odpowiedział Dixmer. — Ale pojmujesz zapewne Maurycy, że nic w tem dziwnego, ponieważ głoszą publicznie, że był on w zmowie z młodą Tison, i że kierował zamachem wykradzenia, który na szczęście nie udał się wczoraj.

— Nie powiadam, aby w tem było co dziwnego — odrzekł Maurycy — ale powiadam, że on powinienby skryć się gdzie dobrze.

— Kto? — spytał Dixmer.

— Kawaler de Maison-Rouge, do licha! gmina szuka go, a jej wyżły mają węch delikatny.

— Byleby go tylko przytrzymali — wtrącił Morand — nim dokona jakie nowe przedsięwzięcie, które udać się może lepiej jak ostatnie.

— W każdym razie — rzekł Maurycy — to przedsięwzięcie nie będzie przynajmniej na korzyść królowej.

— A to dla czego? — spytał Morand.

— Ponieważ królowa wolną już jest teraz od wszelkich podobnych zamachów.

— Albo co się z nią stało? — spytał Dixmer.

— Disiejszej nocy przeprowadzono ją do Conciegèrie — odpowiedział Maurycy.

Dixmer, Morand i Genowefa wydali okrzyk, który Maurycy wziął za oznakę zdziwienia.

— Widzicie więc — mówił dalej — że kawaler królowej musi się pożegnać ze swojemi planami. Conciergèrie pewniejsze niż Temple.

Morand i Dixmer rzucili na siebie spojrzenie, którego Maurycy nie dostrzegł.

Ah! dla Boga! — zawołał on — otóż pan Dixmer znowu blednieje.

— Genowefo — powiedział Dixmer do żony — połóż się w łóżko moja ukochana, zbyt cierpisz.

— Maurycy zrozumiał, że go grzecznie żegnano, ucałował rękę Genowefy i wyszedł.

Morand wyszedł także i towarzyszył mu przezcałą ulicę św. Jakuba.

Tam opuścił go i poszedł coś powiedzieć jakiemuś służącemu, który trzymał osiodłanego konia.

Maurycy tak dalece był roztargniony, że nie mówił ani słowa do Moranda od chwili jak razem wyszli z domu; nie spytał go nawet, co to był za człowiek i co robił ten koń.

Udał się ulicą wałów św. Wiktora i przybył na wybrzeże.

— Dziwna rzecz — mówił sobie idąc. — Czy umysł mój słabnieje? czy też wypadki takiej nabrały wagi? ale wszystko widzę zwiększone jakbym patrzył przez mikroskop.

I w zamiarze uspokojenia się nieco, odkrył głowę, aby go owionęło świeże wieczorne powietrze i oparł się o poręcz mostową.

TOM TRZECI.

I.

Patrol.

Pogrążony w ponurych dumaniach, zatopiwszy wzrok w bieżącą wodę, co u prawdziwego Paryżanina jest oznaką niejakiej melancholii, Maurycy wsparty o poręcz mostową, usłyszał równy marsz małego odziału wojska i poznał że to patrol.

Obejrzał się; była to w istocie kompania narodowej gwardyi, nadchodząca z drugiego końca mostu. Zdało mu się, że wśród ciemności poznaje Lorina.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIAŁ KOBIECY.

O pokarmach roślinnych.

Pokarmy roślinne dostarczają nam daleko więcej środków pożywienia, aniżeli pokarmy mięsne — mają też dla kuchni, zwłaszcza w porze letniej, szerokie znaczenie. Wszystkie płody roślinne dzielimy na 5 grup: *I. Zboża, II. Strączkowe, III. Jarzyny korzeniowe i liściaste, IV. Owoce i V. Grzyby.*

Te zaś grupy, dzielą się znów, ze względu na składniki, które zawierają: (białko, tłuszcz i węglosodany), na 3 rodzaje. Do 1-go należą jarzyny, które mają *dużo białka, trochę tłuszczu a mniej węglasodanów*, tu zaliczamy: bób, groch, soczewicę, fasolę, ryż, kukurydzę, przenicę, żyto jęczmień, wszystkie wyroby mączne, jak chleb, kaszę, makaron itp., migdały orzechy i grzyby.

Do II-go rodzaju należą jarzyny, zawierające *mniej białka, a dużo węglosodanów*, jako to: kartofle, buraki, marchew, rzodkiew, rzepa, kalarepa, cebula, czosnek, szczypior, kapusta, szparagi, kalafiory i pomidory.

Do III-go rodzaju jarzyny, które zawierają *tylko węglosodany:* do tych należą wszystkie sałaty, jarzyny liściaste, jak szpinak, zielona fasola i owoce.

Oprócz tych trzech głównych składników, wyżej wymienionych, znajdują się jeszcze w pokarmach roślinnych, t. zw. *sole nieorganiczne,* niezbędne dla organizmu ludzkiego jako to: żelazo, wapień, potas, fosfor, sód, chlor, kwas siarkowy, kwas kremowy i inne.

Strawność i wartość odżywcza wszystkich pokarmów, tak mięsnych jak roślinnych, zależy przedewszystkiem od dwóch ważnych czynników: I. ich *przygotowania* i II. od ich *przyrządzenia.* Dr. Jürgensen profesor chemii z Kopenhagi, powiada: „Trawienie zaczyna się już w kuchni“ i słusznie, gdyż przez różne sposoby *przygotowania* pokarmów w kuchni, czyli czyszczenia, krajania, rozdrabniania i rozmiękczania takowych, czyni się pokarmy te mniej albo więcej strawnymi. Najstrawniejsze są jarzyny przecierane.

Sposób *gotowania* jarzyn bardzo wielki wpływ wywiera na wartość ich odżywczą; to też stosując tu zasadę gotowania racyonalnego, która polega na tem, aby białko zawarte w pokarmach, w zetknięciu z żarem szybko się ścięło i utworzyło powłokę, nie przepuszczającą soków wewnętrznych należy gotować wszystkie jarzyny wkładając je do wrzącej wody, lekko osolonej, a gdy jarzyna raz się zagotuje, odstawić rondel na mały ogień i pod nakryciem, wolno gotować aż do skutku. Najracyonalniejsze gotowanie jarzyn, jest na parze, do czego służą garnki z dnem dziurkowanem, w które wkłada się jarzyna, jak np. kartofle, przesypane solą (bez wody) i stawia się je na drugie niższe naczynie z wodą wrzącą. Pod ciśnieniem pary, jarzyny gotują się trochę wolniej jak zwykle, lecz posiadają tę wielką zaletę że prawie nic nie utracą swych soli odżywczych, które przy zwykłym sposobie gotowania w wodzie, prawie zawsze wylewamy. Statystyka miasta Londynu w r. 1862 wykazała, że w jednym tylko roku, wylano z pomyjami do Tamizy, 800,000 funtów soli odżywczych i jarzyn.

A więc trzymajmy się tej zasady: *„nic nie odlewać“*. Ważną też rzeczą przy gotowaniu jarzyn, jest aby ich nie przesalać i nie przetłuszczać. Najzdrowsze i najłatwiej strawne są jarzyny gotowane na lekko osolonej wodzie i polane świeżem masłem śmietankowem, które nie przesmarzyć lecz rozpuścić na ogniu tylko trzeba.*)

Kronika mody.

(Według Tyg. mód i powieści.)

Suknie strojne, weselne lub na obiady proszone nosi się lekkie gazowe, etaminowe, lub krepowe na spodach jedwabnych miękkich, zawsze odmiennych w kolorze od wierzchu. Galony z nitką złotą lub srebrną wykończają toaletę. Na ramiona zarzuca się szal gazowy.

Szale są noszone także z tej samej materyi lekkiej, miękkiej co suknia, z podszyciem białem lub kolorowem innego tonu, zakończone wrobioną frędzlą w dwu tonach.

---

*) Jarzyn gotowanych nie należy trzymać w rondlu na gorącej blasze, gdyż często zmieniają kolor i smak — lepiej więc gotową jarzynę przełożyć w kamienny garnek polewany i wstawić w rondel z gorącą wodą. Tym sposobem mogą bezpiecznie stać dłużej.

Kwiaty całemi wieńcami otaczają duże kapelusze. Muszą jednak być bardzo piękne, żeby w wielkiej ilości stanowiły harmonijną całość.

Do bluzek koszulkowych białych noszą się długie, kolorowe krawaty wiązane po męsku.

Suknie lekkie nawet całe noszą w falbanki, szersze od dołu, węższe od góry. Dla młodych osób jest to moda bardzo ładna, ale w mieście, gdzie nie ma kto ciągle prasować — niepraktyczna.

Płaszczyki z tussoru we wszystkich kolorach bardzo są do podróży używane. Nad morze północne, płaszczyk miękki z himalai jest niezbędny. Wiatry i deszcze bywają czasem chłodne.

Peleryny gumowe są praktyczniejsze od płaszczy. Płaszcz zapięty — to łaźnia parowa. Nie przepuszcza transpiracyi ciała i jest przez to niesłychanie gorący. Peleryna jest przewiewna a byle zapięta z przodu na guziki, to równie dobrze od deszczu zabezpieczy.

Do wagonu najlepszy jest bucik sznurowany. W półbuciku noga brzęknie przy zmęczeniu, a bucik trzyma w kostce i ruchy nogi czyni pewniejszymi.

Dom i kuchnia.

Soki owocowe bez cukru.

Jest to handlowy sposób przyrządzania soków. Owoce lub jagody; jak: jabłka, gruszki, śliwki, czereśnie, wiśnie, maliny, borówki i t. p. obiera się i rozgniata w czystem drewnianem naczyniu (małej nowej balijce).

Uzyskaną w ten sposób miazgę ogrzewa się, aż do zagotowania, w naczyniach glinianych, glazurowych lub żelaznych emaliowych i na gorąco przeciera przez sita włosienne lub druciane niklowane. Sok i miazga przechodzi, a pestki i skórki pozostają na sicie. Sok ten wraz z miazgą, w stanie jeszcze dobrze ciepłym, wlewa się do flaszek czystych i szczelnie korkuje. We flaszkach trzeba zostawić nieco miejsca wolnego, przynajmniej na objętość jednej łyżki, bo inaczej popękałyby przy gotowaniu. Po zakorkowaniu obwiązuje się szyjki flaszek i korki drutem na krzyż i po raz wtóry zagotowuje sok we flaszkach. W tym celu trzeba w wielkim garnku żelaznym ustawić na dnie trzy płaskie, równo grube kamyczki, i ułożyć na nich drewniany krążek dziurkowany. Na tym dopiero krążku ustawia się flaszkę przy flaszce, nalewa wody i gotuje. Od chwili zagotowania się wody, utrzymuje się garnek przez godzinę na ogniu, poczem przykrywszy krążkiem, zdejmuje i nieodkrywając zostawia do ostygnięcia. Po wyjęciu flaszek i obsuszeniu korków, zanurza się ich łebki w roztopionej parafinie lub laku, by powietrze przez pory korka nie mogło przenikać do wnętrza flaszek.

Sposób solenia ogórków.

Ogórki świeżo wybrane opłukać i układać w trzywiadrowe beczułki, położywszy na spód liści selerów, pietruszki, 2 cebule drobno krajane, 2 główki czosnku, kilka zielonych pomidorów i dużo kopru. Dopiero wtedy nałożyć ogórków do połowy baryłki, przełożyć samym koprem i nakładać znowu ogórki póki nie będzie pełna baryłka. Baryłką trzeba wstrząsać, aby więcej można zmieścić. Gdy baryłka pełna, przykryć z wierzchu koprem, znowu liśćmi seler, pietruszki, 9 cebulami, 2 główkami czosnku, kilkoma pomidorami zielonemi i 2 strączkami tureckiego pieprzu, kto lubi ogórki ostre. Wtedy baryłkę hermetycznie zamknąć dnem, w którem powinien być mały otwór, aby można wstawić lejek do zalania wodą soloną. Wodę nalewamy dopóty, dopóki się nie pokazują pęcherzyki przez otwór. Gdy ich niema, znaczy się, że baryłka pełna. Wtedy zabić otwór i zaraz załadować w lód tak, żeby zupełnie baryłka lodem była pokryta. Lód można z wierzchu osolić, to nie tak łatwo topnieje.

Woda do ogórków. Na wiadro wody bierze się funt i ćwierć soli, kładzie się do tego dużo liścia wiśniowego i zagotuje, a dopiero gdy woda dobrze się gotuje, zalewać ogórki; w taki sposób przyrządzone ogórki są nie kwaśne, twarde, zielone i doskonałe.

Wypróbowany środek na wytępienie karaluchów.

Jedną stołową łyżkę bornego kwasu rozpuścić w szklance gorącej wody; tą wodą namoczyć kawałki chleba lub bułki i kłaść po kątach; zwilżać ten chleb co wieczór, a za tydzień, najdalej półtora robactwo wyginie.

Czyszczenie lakierowanych nosków i bucików.

Najlepiej zmywać lakier gąbką, zmoczoną w czystej, zimnej wodzie, a po wytarciu do sucha, wycierać jeszcze kawałkiem miękkiego, suchego płótna, aż nabiorą połysku. W razie uszkodzenia, pociągnąć warstwą błyszczu w płynie, jaki się używa do obuwia.

:: HUMORYSTYKA ::

Korespondencya miłosna.

Najukochańsza panno!

Od czasu jak pannę poznałem ani weź nie mogę sypiać i nawet jak pędzę wieprze do szlachtuza, to ciągle jeno pannę Weronikę mam na myśli, a jak który kwiknie, to zdaje mi się, że najukochańszej panny głos słyszę.

Bardzo z tej niepewności zmizerniałem i straciłem kilkanaście funtów wagi; takiego stworzenia nieczystego jak wieprz, funt też kosztuje 80 fen., więc niech panna obliczy jakie ja straty pieniężne na sobie samym ponoszę.

Też z afektu do osoby niemam już dawnej pewności ręki i majster mi wymyśla od ostatnich że zamiast trafić obuchem w łeb, to łupnę w żebro. Och, co ja przez pannę cierpię!

Niech kochana osoba odpisze, czy co będzie czy nie, bo jak nie to nie, a jakby tak to tak, raz kozie śmierć i ład w tem interesie trza zrobić.

Wczoraj tak samo przez roztargnienie, salceson napchałem tłuczonem szkłem, mięso zamiast szkła wyrzuciłem na śmietnik, zamiast papierosa, wsadziłem sobie ogonek prosiaka w twarz, ludzie się ze mnie śmieją, co to może miłość!

Czekam odpowiedzi w szlachtuzie i skrobię sierść z niecierpliwością panią kachający

Adam Kubiełka
parobek od rzeźnika.

* * *

Wielmożny Adam, parobek
w miejszczu.

I ja prawdy w ścierkę nie obwijając, tak samo pana umiłowałam i co dnia z rana, jak sobie włosy smaruje topolową pomadą, to mi się zawdy zdaje, że już jezdem pańską i że mam własny śmalec, któren pan przynosi jako „szmu".

Ciągem myślę o panu i zazdroszczę szczęśliwym trzodom, które z panem chodzą z kolei do rzeźni, ale ja nie mając czasu, jedną ręką ten list piszę, drugą się czeszę, a trzecią piekę pieczeń, bo u nasz czyste piekło. Niech się pan Adam nie martwi, ja inszego nie chcę i już mam zebrane osiem fontów czukru, fotografiów z albomów pańskich wyjętych trzy, dwie koszule webowe pana, jedne poszewkie i pięć kołnierzyków starszego pana, które będą dla pana w sam raz.

Teraz akuratnie krzynę mam łzy w oczach, bo trę cebulę, a jak tylko dosłużę do kwartału, to zara za pana wyńdę i będziem se razem świnki pędzać.

Weronika.

Przesłyszał się.

— Jak pan śmiałeś powiedzieć, że pochodzę z oślego rodu.

— Ależ ja to powiedziałem wprawdzie w pańskiej obecności, lecz ojcu pańskiemu.

— W takim razie przesłyszałem się, przepraszam.

Nie traci.

— Szanowny panie, Wisła wylała...

— A więc?

— Straty ogromne, całe pola pod wodą.

— A więc?

— Pan jesteś znany z bogactwa, powiadają, że majątek swój liczysz na miliony.

— A więc?

— Setki rodzin bez dachu, i chleba, nędza okropna.

— A więc?

— Sądzę, że pan nie odmówisz wsparcia.

— Odmówię.

— W takim razie mianoby prawo powiedzieć że pan jesteś sknerą pozbawionym serca i uczuć.

— Ale ja na tem nie tracę ani grosza.

I to racya.

Jagusia. Proszę wielmożnej pani, ja chcę być za kucharkę.

Pani. Ale moja Jagusiu, jakże to z mamki na kucharkę.

Jagusia. Kiej potrafiłam wykarmić małego, to mogę i dużych.

Ma racyę.

— Nie rozumiem, jak możesz wychodzić za kulawego?

— Więc cóż z tego, przecież on wtedy tylko kuleje, gdy chodzi...

Od Administracyi.

Wszelkie reklamacye są wolne od opłaty pocztowej.

Zwracamy jednakowoż Szan. Czytelnikom uwagę na to, iż reklamacye koniecznie muszą być nadesłane w **otwartej** kopercie. Reklamacyi w zamkniętych kopertach niefrankowanych nie przyjmujemy, ponieważ poczta liczy nam za nie podwójne porto.

Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu
Czcionkami „Dziennika Poznańskiego".

Redaktor odpowiedzialny Marjan Hupczyc w Krakowie